№ 48. Warszawa, dnia 17 (29) Listopada 1890 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. **Na Prowincyi** rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kopiejek 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 2 cen. 30. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 2 centów 30. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 3, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 3 pf. 50.

Adres: Emil Skiwski w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Z TYGODNIA.

TREŚĆ: „Ja takich dziecińѕtw nie czytuję." Witaj, Panno mądra! Uncya bystrości, gram nauki, a funt utrapień. Co na to nasze laureatki? Nowe pole działania. Nie chcemy separatyzmu. Towarzystwo opieki nad... osłabioną prasą. Jedne tylko narodziny i to... w Krakowie. Zwyrodnienie jesieni. Procesy i morderstwa, zamiast dorobku umysłowego. Konkursowe pisklęta. Krokodyl i ichneumony. Komiwojażer literacki. Frymarka i handlarstwo. Utrapienie redakcyj, a niedola autorów. Biuro pośredniczące. Możeby kobieta?

Literatura polska? Alboż ona istnieje dzisiaj?

Oto zdanie, jakie obiło mi się niedawno o uszy, na jednem z zebrań towarzyskich. Wygłosiła je, z rzadką pewnością siebie, młodziutka panienka, dysputująca ze swadą skończonego mówcy.

Struchlałem. Jeden rzut oka uspokoił mnie jednak. Wiek jej wskazywał wyraźnie, iż poprostu nie miała dotąd czasu poznać bogów, których świątynię od jednego obalała zamachu.

Zaciekawiony odwagą sceptycznej panny, przeczącej wszystkiemu, czego nie zna, zbliżyłem się nieśmiało.

— Jakto? — podjąłem — łaskawa pani znajduje, że piśmiennictwo nasze wcale nie istnieje? Przecież poezya, powieść...

Nastroszona grzywka zjeżyła się o trzy cale wyżej.

— Ja takich dziecińѕtw nie czytuję — rzuciła mi wyniośle.

— A dzieła historyczne?

— Marne kompilacye — brzmiała sarkastyczna odpowiedź.

Zrozumiałem i — zamilkłem. Równocześnie jednak przyszła mi na myśl stara anegdotka o owej pannie z parafialnego zaścianka, która, napiwszy się w mieście z mętnej, bo srodze płytkiej krynicy wiedzy, sądziła się wtajemniczoną już w arkana wszelkiej mądrości. Powróciwszy też do domu, była tak bardzo przejęta podziwem dla własnego rozumu, iż żaden hołd zbyt wysokim jej się nie zdawał. Gdy więc wchodząc do wiejskiego kościołka, posłyszała, jak organista ryknął na chórze głosem tubalnym:

— Witaj, Panno mądra!

Nie przyszło jej nawet na myśl, że się to może do Matki Boskiej odnosić. Odwróciła się zatem ku niemu, a składając dyg posuwisty, wrzasnęła donośnie:

— Dziękuję acanu dobrodziejowi!

Uśmiechnąłem się. Właścicielka spiętrzonej grzywki, chcąca tak forsownie odebrać mi wiarę w moje bogi, do tego samego widocznie należała rodzaju. Nie byłaby też zatrzymała dłużej mej uwagi, gdyby nie artykuł jednego z pism postępowych, którego serce, pomimo przychylności dla rozwoju umysłowego kobiet, wezbrało goryczą nad kwaśnemi, bo niedojrzałemi owocami nauki, jakich nam większość młodych panienek każe kosztować. Ponieważ kwestyą niedostatecznych studyów poruszał „Tygodnik" w jednym z poprzednich numerów i o potrzebie zreformowania wykształcenia niewieściego niejednokrotnie jeszcze mówić będzie tutaj, więc pozwalamy sobie tylko zwrócić uwagę na słuszne te skargi, oparte głównie na braku kierunku w czytelnictwie kobiet. Panienka, ukończywszy „wyższą" pensyą, gdzie otwarto przed nią „niższe" zaledwie abecadło nauki, chwyta dzieła, do których zupełnie nie jest przygotowaną. Miesza ekonomią z estetyką, historyą z fizyologią, pochłania psychologią, socyologią, rzuca się na pisma postępowe, zaznajamia z Darwinem, Bainem, Zolą, aż wreszcie ta uncya bystrości, połączona z gramem nauki, zamienia się w cały funt... ośmieszenia sprawy poważnej.

Dzielną na fałszywy ten kierunek odpowiedzią są nowe nasze laureatki. To też p. Wanda Szczawińska, która otrzymała świeżo stopień doktora nauk przyrodniczych w uniwersytecie genewskim, za wyborne podobno napisaną rozprawę z biologii, i p. Cecylia Krasuska, nagrodzona złotym medalem przez paryzką *École dentaire*, powiedzą zapewne, iż nie miały sił ani czasu do studyowania wszystkich ...*logij* naraz. Dlatego więc, nie biorąc rozbratu z logiką, poświęciły się jednemu tylko kierunkowi, a zgłębiwszy go specyalnie i dokładnie, świetne odniosły z pracy swej rezultaty.

Brawo, winszujemy im szczerze. Że jednak nie wszystkie chcą fachowej poświęcać się pracy, wzamian więc za nią dla tych, które mają trochę czasu i odrobinę dobrej woli, pochlebiam sobie, iż wynalazłem nowe pole działania. Raz w życiu będę po-

mysłowszym od „Kuryerów.” Bo podczas, gdy te ostatnie ogłaszają z tryumfem przystąpienie pań do Towarzystwa opieki nad zwierzętami, ja, chudopachołek, bardziej obywatelskie i więcej postępowe żywię uczucia.

Poco to bowiem, proszę pana, rozdzielać tych, których Pan Bóg dla siebie stworzył? Poco wiecznie segregować: to dla dam, a tamto dla panów? Nie lubię tego, bo to trąci myszką separatyzmu tam, gdzie wspólnemi siłami więcej zdziałać można. Czybyśmy więc, zważywszy, że nawet zwierzęta mają już opiekę, nie założyli teraz Towarzystwa opieki nad... osłabioną prasą? Prócz paru zdrowo rozrośniętych członków, zresztą chora jest, dalibóg chora, stu doktorów może dać na to świadectwo.

Dawniej, gdy tryskała siłami żywotnemi, prezentowała nam zwykle pod jesień cały szereg nowonarodzonych, a brzmiącemi imionami ochrzczonych swych dzieci. Dziś, posępna, pozbawiona werwy, pokazuje z jednej strony niedawne mogiły, z drugiej zagrożonych suchotami synów swych i córy. Poco — dowodzi — mnożyć ten zastęp cherlających egzystencyj?

Nie, ona jest stanowczo chora, ta prasa; chora na zubożenie krwi, hypokondryą i pesymizm. Sądzę iż rubel, jako „miły gość przy ognisku rodzinnem,” wróciłby jej odrazu trochę sił żywotnych. Zakładamy więc Towarzystwo opieki, którego każdy członek obowiązany będzie prenumerować trzy pisma i czytać... choćby jedno.

W ten sposób ukrócimy również emancypacyą jesieni, która, doszedłszy do zwyrodnienia cech znamiennych, zamiast dorobku umysłowego, daje nam skandaliczne *causes célèbres* i ohydne w wyrafinowaniu swem morderstwa. Wrażenie spraw tych musi być tem silniejsze, iż zarówno fałszerstwo weksli, jak zasztyletowanie dwóch nieszczęsnych ofiar w wagonie, wyższych sfer dotyczy. Odwracając też z przerażeniem oczy od tych scen okrutnych, w kołach społecznych i artystycznych jaśniejszego szukamy obrazu.

Na horyzoncie warszawskim, jako zachęta do twórczości, zaczynają się już ukazywać małe pisklęta konkursowe. „Tygodnik illustrowany” wyznaczył nagrodę za rysunki, „Ziarno” za nowelę. Wprawdzie „Przegląd tygodniowy” dowodzi, iż woli średnią powieść, niż sto niezłych nowel, w czem pokorny sługa wasz zgadza się z nim najzupełniej, wprawdzie nazywa drobne te utwory „frymarką i handlarstwem literackiem,” niemniej ja się z owych piskląt konkursowych cieszę bardzo.

— Winszuję logiki w zdaniu — szepczesz pan złośliwie.

— Przepraszam, to nie dowodzi jej braku. Dla nowel nie mam zbytniego uznania, ale cieszę się z obu małych konkursów, gdyż uważam je za ichneumony, które, według tradycyi, poprzedzają wielkie krokodyle. Wszak mamy tam gdzieś podobno, i to w dobrych rękach, tysiące rubli, z uskładanemi zapewne od nich procentami, przeznaczone na konkurs dramatyczny i powieściowy? Może więc za małym ichneumonem wychyli głowę duży aligator i przyniesie nam coś nowego.

— I tysiące rubli nie stworzą talentu, przeczysz pan jeszcze.

— Zapewne, zapewne — przyznaję pokornie; — ale gdyby nie tysiące rubli, dostarczane Sienkiewiczowi, nasz genialny... komiwojażer literacki, jak go złośliwi nazywają, nie mógłby pisywać przepysznych listów z podróży i powieści na egzotycznem tle Afryki. Zresztą, skorom raz potrącił o sprawy literackie, do których nieprędko na miejscu tem powrócę, niech mi wolno będzie rzucić jeden jeszcze wiekopomny projekt. Oto proponuję miłośnikom piśmiennictwa, aby, oszczędzając gorzkiego utrapienia redakcyom, a niedoli autorom, założyli biuro pośredniczące między nimi. Będzie wtedy mniej skarg obustronych, mniej zależności we wzajemnych stosunkach, mniej protegowanych miernot, mniej oczów, zmarnowanych nad czytaniem nędznych wypracowań, mniej wędrujących, a nigdzie nie rozwijanych rękopismów, mniej zapoznanych wielkości, wreszcie zaś mniej płatnych, a śmiesznych i demoralizujących ogłoszeń w pismach. Wszak jedno, z nędzy zapewne, mówi nam o odstąpieniu na własność, pod pieczęcią tajemnicy, dobrej powieści wraz z prawami autorskiemi; drugie zaś obiecuje ocenę dramatu na 1 rs. lub poezyi, za 50 kop. (*).

A możeby biuro podobne mogło założyć wykształcona kobieta?

Lecz nie, — prawda, przecież ja nie lubię takiego separatyzmu.

Anatol Krzyżanowski.

PIERWSZY BAL.

(WIZERUNEK Z NATURY.)

PRZEZ

CHMURKĘ.

(Dalszy ciąg.)

Pamiętam jak dziś pierwsze dni w rozkosznem tem miejscu, pierwsze tualety, pierwsze nasze wizyty.

Na każdym kroku mama mnie strofowała, uczyła, poprawiała:

— Muszko, nie mów tak wiele, nie bądź tak śmiała, nie wypowiadaj zawsze wszystkich swoich myśli.

Przekonałam się wtenczas, że drugą edukacyą musiałam odebrać, żeby wszystkich zadowolić.

Szczególnie zajmowało mamy uwagę, gdy rozmawiałam z panami, a ci nadzwyczajnie podobali mi się wtenczas. Nieraz też przyszły mi na myśl słowa przełożonej:

— Bądź z nimi ostrożną, bo ci mężczyźni wyzyskują naszę próżność, nasze słabostki, żeby potem...

Pamiętam, że jej przerwano w chwili, kiedy cała moja uwaga zawisła na jej ustach.

Co mogło być „potem?”

Chciałam się o to zapytać mamy, ale jakoś nie śmiałam.

Przypatrywałam im się tylko z coraz większą ciekawością, chcąc się przekonać o następstwach rady matki przełożonej, jednak, pomimo mej żywości, byłam z nimi ostrożną, co wywoływało nieraz uśmiech na ich ustach, chociaż uważałam, że chętniej ze mną się bawili, niż z innemi, starszemi nawet odemnie pannami.

Dumną z tego byłam, bo chociaż matka przełożona pasowała mnie na dorosłą pannę, w świecie bardzo często uważano mnie jeszcze za dziecko, a mianowicie znajome panienki, które chciały mi imponować różnicą dwóch lub trzech lat.

Często szeptały sobie coś do ucha, zwierzały się z jakichś tajemnic, a gdy i ja także chciałam się czegoś dowiedzieć, odprawiały mnie, mówiąc:

— O nie, nie, tyś jeszcze dziecko!

— Dziecko? — mawiałam gniewnie, — dziecko szesnastoletnie?

Panowie zaś, przeciwnie, oddawali mi wszelkie honory należne dorosłej pannie, byli grzeczni, uprzejmi, nadskakujący (o, bo wtenczas jeszcze panowie nadskakiwali pannom!). Jakże nie miałam ich lubić, jak nie przenosić nad inne stworzenia? Gdzie tylko się pokazałam, przybiegali do mnie, obsypując mnie pytaniami.

— Panno Muszko, ach, panno Muszko, czy panna Muszka idzie na koncert, czy panna Muszka będzie na balu?

To ostatnie pytanie zasmucało mnie zawsze, bo już kilka razy słyszałam od mamy, że jeszcze na bal stanowczo nie weźmie mnie w tym roku.

— Proszę się mnie nie pytać nigdy o żaden bal— odpowiadałam wtenczas ze łzami prawie w oczach,— bo mama powiedziała...

— Że pani jest jeszcze dzidzi?... tak? — mówił przyciszonym głosem jeden z lepiej mi znanych panów, pan Władysław B... syn przyjaciela mego ojca.

Zagniewałam się na niego bardzo i prawie mówić z nim nie chciałam za to ubliżenie w towarzystwie, widziałam jak inne panny, które były przy tem, wyśmiewały się ze mnie i „dzidziem” nazywały, miałam więc żal do niego.

Raz, pamiętam, na wycieczce, towarzystwo składało się z kilkunastu osób, panien, młodych ludzi i starszych pań, które szły wolniej za nami, ten sam pan Władysław odezwał się do mnie:

— Ależ pani będzie na balu, panno Muszko!

Nie odwróciłam nawet głowy, tylko szłam coraz prędej wąziutką ścieżką lasu, szukając niby poziomek.

— Panno Muszko, nie odpowiada mi pani?

Chcąc mu okazać oburzenie, malujące się w mej twarzy, odwróciłam głowę. Miał minę tak śmiejącą i zuchwałą, że gniew, który wrzał w mej piersi, wybuchnął gwałtownie.

— Proszę się ze mnie nie naigrawać, nie pozwalam panu na to!

— Ależ, panno Muszko — rzekł już zmienionym tonem, widząc że walczę z sobą, żeby się nie rozpłakać, — proszę się na mnie nie gniewać; nie chciałem przykrości zrobić, nie wiedziałem, że pani tak do serca to weźmie.

— Jakże nie mam brać do serca takich drwinek z siebie? Dlatego że Zosia i Kazia są cokolwiek starsze, zdaje się wszystkim, że ze mnie żartować sobie można!

— A coby panna Muszka powiedziała, gdybym ja się przyczynił do jej pójścia na bal?

Przystanęłam na chwilę.

— Pan wie, że to jest niemożliwe.

— A gdyby... gdyby?... — mówił, patrząc na mnie tak, że aż oczy spuściłam.

— Ach, Boże!... wtenczas nie gniewałabym się już na pana — rzekłam, ocierając oczy i śmiejąc się do niego.

— Naprawdę? Panna Muszka nie gniewałaby się na mnie, darowałaby wszystkie przewinienia

---

(*) Patrz ogłoszenia w „Kuryerze warszawskim.”

przeciwko swej osobie? Za taką nagrodę warto walczyć z przeciwnościami, choćby największemi. A tymczasem proszę o rączkę na zgodę.

— Ale pan mnie już nigdy nie będzie wyśmiewał? — rzekłam, chowając ręce.

— Nigdy już, nigdy, przysięgam!

Podałam mu teraz rękę chętnie, a on ją uścisnął, potem pocałował.

— Ależ panie! — zawołam, czując, że to coś złego; bo lęk mnie jakiś ogarnął i gorąco mi się zrobiło, a słowa matki przełożonej mimowoli przyszły na myśl: „To są kusiciele, tą są czarne duchy na drodze życia kobiety...”

Odwróciłam głowę, bojąc się, czy nas kto nie spostrzegł, i od tej chwili uważałam to za tajemnicę, która nas łączyła.

Myślałam, że inne panny o takich pocałunkach musiały sobie szeptać i to podniosło mnie w ich oczach.

— Prawda, że teraz i pan uważa mnie za dorosłą osobę? — zapytałam nieśmiało i cała jeszcze w płomieniach.

— Ależ najzupełniej — odpowiedział, przygryzając usta i patrząc na mnie tak dziwnie, że aż spuściłam oczy. — A teraz, panno Muszko, trzeba iść do mamy.

Oddaliliśmy się trochę od całego towarzystwa, więc trzeba się było wracać, wkrótce nas spostrzeżono i zaczęto wołać:

— Panno Muszko, panie Władysławie!

— Muszko — pytały panny — gdzież byliście tak daleko?

— Teraz to ja wam nie powiem — pomyślałam sobie w duchu; — i ja mam tajemnicę którą się nie podzielę —a głośno dodałam, podnosząc trochę głowę:

— Na poziomkach.

— Na poziomkach? a gdzież je masz? Pokaż!

— Nie pokażę, bo zjadłam je z panem Władysławem — odpowiedziałam, śmiejąc się.

Pan Władysław tymczasem rozmawiał długo z mamą, do czego się przyłączyły wszystkie starsze panie; po chwili wszczęła się dysputa, w której wyraźnie słyszałam głos mamy.

— Nie, nie, Muszka jeszcze zamłoda, a taka żywa, taka roztrzepana, nie można jej jeszcze uroczyście wprowadzać w świat.

Młodzi ludzie się przysunęli.

— Prosimy za panną Muszką! — wołali, składając ręce i patrząc w moję stronę, a ja stałam jak skamieniała, bez tchu w piersiach, czekając wyroku; znałam naturę mamy i wiedziałam, że gdy i ja zacznę prosić, stanowczo odmówi, a tak, milcząc i spuszczając się na łaskę, mogłam jeszcze coś zyskać.

— Pozwól Muszce, pozwól — prosiły starsze panie; — patrz, jak biedactwo stoi i spogląda na ciebie miłosiernie.

Wszystkie panienki, które były z nami, rzuciły się do mamy, całując ją po rękach i wstawiając się za mną.

Mama tymczasem rozmawiała ze starszemi paniami, a ja nadstawiałam uszów, połykając każde słowo.

— Moja droga — mówiła mama do cioci w zaufaniu, — od pierwszego balu rachują pannom lata, a ja nie chcę żeby Muszka...

— Ależ proszę cię, przesadzasz, któżby tam jej rachował, widząc ją tak młodziutką, taką...

Przerwałam jej, patrząc na nią z taką komiczną wdzięcznością, że się aż śmiać zaczęła, dając mi znak ręką, żebym się zbliżyła.

— Tak, tak, potakuj jej, a nawet nie masz wyobrażenia, co ona czasem nie wypłata, gdy się zanadto rozgada; przed tygodniem na herbatce u państwa O..., siedząc w sąsiedztwie otyłego obywatela, który silił się ją bawić...

— Ach, pana D! — zawołała ciotka, mrugając i śmiejąc się do mnie.

— Ach, tak, tego samego, otóż powiedziała mu, gdy on ją zapytywał, czy chciałaby mieszkać na wsi: „Ach, panie, ja wsi nie cierpię, ja wsi nienawidzę, ja... ja... wolałabym pójść za szewca, niż za obywatela.” Myślałam że się spalę ze wstydu, a Muszka tymczasem w najlepsze zajadała lody, gdy ten biedaczysko nie wiedział, co ma z sobą zrobić.

— Mamusiu — zawołałam, składając ręce jak do modlitwy,—ja tego już nigdy nie powiem, choćby ten pan był dwa razy grubszy!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a pan Władysław, przyklękając na jedno kolano, rzekł, wznosząc na mamę oczy, pełne gorącej prośby:

— Cóżby to był za bal bez naszej panny Muszki? Ręczę, że niktby nie przyszedł, że balby się nie udał, że...

— Psujcie mi dziewczynę, psujcie! — przerwała mu mama, trochę już rozbrojona; widocznie pochlebiało jej, że z tą małą Muszką ludzie się rachują, że im na niej zależy.

— Błagamy wszyscy za nią! — krzyknęli mężczyźni razem, aż echo odpowiedziało w lesie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYCHOWANIE.

II.

Jakie wierszyki powinnibyśmy dawać do nauki dziatwie naszej?

Że dzieci zgrabny wierszyk lubią, że uczą go się i powtarzają chętnie, wiemy o tem wszyscy. Wierszyk odznaczający się pięknością formy, przystępny pod względem treści, dzieci w lot chwytają i w jednej chwili uczą go się na pamięć. Dość dwa razy przeczytać jakiś wierszyk, który się dzieciom spodoba, a przekonamy się, że powtórzą go z pamięci co do słowa. Oczywiście, że korzyść ztąd wielka. Dziecko bez długich wykładów, bez mozołów i wysiłków kształci się pod względem etycznym, estetycznym i językowym. Że tak jest, wiemy o tem aż nadto dobrze.

Pomimo to przecież praktyka wykazuje, że dziś dziatwa nasza mało sie jakoś utworami poezyi dla siebie poświęconej zajmuje. Dość jest zapytać chłopczyka albo panienki: „Umiesz też jaki wierszyk na pamięć?” a w jednej chwili otrzymamy odpowiedź: „nie, wierszyków i bajeczek to ja się nie uczyłem.” A szkoda, wielka szkoda! Zdarza się przecież niekiedy, że otrzyma się odpowiedź twierdzącą i po chwili, odkaszlnąwszy, nasz „milusiński” zaczyna deklamować albo coś zbyt na jego siły trudnego, albo coś arcyniezrozumiałego. Słyszeliśmy na przykład wierszyk, którego się deklamujący nauczył z bardzo ozdobnie wydanej książki, pełnej kolorowanych ilustracyj; brzmi on jak następuje:

Wiśnie smaczne i różane,
Na kolczyki czasem brane,
Z rubinami są równane;
Lecz rubiny wszak z kamienia,
A sok wisien wśród pragnienia
W miły napój się zamienia.
Julcia wiśnie jadać rada,
A klejnoty któż to jada?...

Zapewne że nikt, ale też wierszyki tego rodzaju nie wiemy po co kto układa. O co tu autorowi chodziło, co chciał wypowiedzieć?...

Inny znowu prawi:

Kto ciekawy
Serca sprawy,
Niech stokrotkę oskubuje;
Wróży ona
Z listków grona,
Kto dla kogo miłość czuje.
Kocha, lubi...

W tem miejscu mały deklamator urywa i próżno stara się odszukać końca tego arcypedagogicznego wiersza na... suficie.

Słysząc to i patrząc na to, żal serce ściska, bo czyż nie mamy, jak to poważna i najświeższa krytyka wykazała, utworów pierwszorzędnego, znakomitego poety dla wieku dziecinnego — Jachowicza? Czy nie znajdujemy między utworami swoich mistrzów słowa i myśli dawniejszych i nowszych prawdziwych kwiatów poezyi, które bez wahania i dziatwie ofiarować moglibyśmy?... Czy nie mamy kilku zbiorków bardzo umiejętnie dobranych wierszyków dla dzieci?

Mimo to łatwo zauważyć, że dziatwa nasza uczy się częstokroć rzeczy niepedagogicznych, częstokroć utworów przeznaczonych dla starszych, a dosyć często i nawpół bredni z pięknie oprawnych i licznemi rycinami opatrzonych książeczek. Często też dzieci pocą się nad bajkami Fredry albo Krasickiego, choć wiemy, że ci wielcy pisarze wcale nie dla nich je pisali. Smutniejsza jednak rzecz, że dziatwa nasza, jak to już nadmieniliśmy, mało jakoś uczy się dziś utworów zagrzewających umysł, podniecających pragnienie dobra, rozbudzających energią ducha.

A przecież wielką doniosłość takiego czynnika jak poezya w wychowaniu początkowem, średniem i wyższem najpoważniejsi krytycy nasi i obcy wyraźnie zaznaczyli.

Dość przytoczyć tylko zdanie F. Pécaut z dzieła: „La poésie et l'éducation,” ażebyśmy przypomnieli sobie, jak wielkiem jest jej znaczenie.

„Skoro tylko — pisze autor — uczucie poezyi stępieje lub całkowicie wygaśnie w narodzie jakim, nauka i sztuka, niedostrzeżenie zrazu, zachwieją się jednak w podstawach swoich, wszelkie objawy życia stracą na doniosłości. Czasowo może udoskonalenie metod naukowych, potęga czynników intelektualnych, ruchliwość życiowa, sprawy polityczne, potrzeby ekonomiczne i t. d., zamaskują upadek istotny, strumień atoli, niezasilany u źródła swego, miasto wartkim jak dotąd płynąć biegiem, wysychać zacznie w oczach niemal naszych.”

Dawniej, pod rodzinną strzechą, nim dziecko w świat między ludzi poszło, matka powtarzała mu piękne wierszyki Jachowicza, uczyła wypowiadać je wyraźnie, zrozumiale. Z wierszyka tryskał dobroczynny morał, tryskały szczere uczucie, szczery zachwyt do wszystkiego, co dusza ludzka za piękne uznae.

Dziecko powtarzało wierszyk za matką słowo po słowie, zdanie po zdaniu, jakby rzecz świętą, przekazywaną sobie z głębi serca, jakby zadatek i skarb na ciężką, pełną niebezpieczeństw drogę życia. Któż z nas choć raz chwil tych nie doświadczał? Komu w pamięci kiedykolwiek wrażenie takiej nauki zostało zatarte?

Jest w życiu dziecka chwila, kiedy, przemógłszy swoje niemowlęctwo, zaczyna mówić. Milczące niedawno i tylko ruchami rąk, oczami, uśmiechem lub płaczem wewnętrzne swe pragnienia i pożądania okazujące, teraz bezustannie gwarzy, sili się na opowiadanie, jakby się cieszyło swojem zwycięztwem nad mechanizmem mowy. Wtedy to rozkoszuje się ono tem, że mówić może, powtarza powoli słowa, przekręca je, to znów się poprawia i t. d. Łatwo zauważyć, że samo ono, napotkawszy przypadkowo rym w dwóch słowach, klaszcze w rączki i powtarza go dziesiątki razy. Słyszeliśmy nawet dzieci, i to bardzo często, które same dobierały i szukały rymu w słowach, bawiąc się tem. W takim czasie, jeśli matka wypowie piękny i zrozumiały dla dziecka wierszyk, to ono z radością powtarzać go będzie i z łatwością nauczy go się na pamięć.

Następujący wierszyk Stanisława Jachowicza przeczytaliśmy tylko trzy razy dzieciom, a te zaraz powtórzyły go z pamięci co do słowa. Tytuł jego: „Adaś i konik drewniany.”

Adaś miał konika, konik był jak żywy,
Siadł Adaś na niego i trzymał się grzywy;
A siostra to widząc, jak jedzie chłopaczek,
Powiada: — ja tobie uszyję czapraczek!
Ja tobie dam siodło, brat młodszy powiedział,
To będziesz wygodniej na koniku siedział.
Nie śliczneż to, dzieci, gdy dobre, aż miło?
Och! żebyż tak żeby w każdym domu było!...

Ale cóż też to tu za prostota wyrażeń, co za konkretne, zupełnie odpowiednie dla młodocianego umysłu pojęcia!

Nic tu niema dla dziecka obcego: wszystko z jego światka wzięte. A czczego moralizowania, przenośni zawiłych, tendencyj niejasno się wypowiadających, pojęć abstrakcyjnych ani śladu.

Obrazek to pełen prostoty, pełen szlachetnej tendencyi, a przedewszystkiem żywcem ze światka dzieci pochwycony i plastycznie odmalowany. Poszukajmy tylko, a znajdziemy w swojej literaturze dla dzieci podobnych mu więcej, niżbyśmy się spodziewali nawet.

To też na postawione w nagłówku niniejszego artykułu pytanie, jakie wierszyki powinnibyśmy dawać do nauki swojej dziatwie, odpowiadamy: jaknajmniej przepełnione suchem moralizowaniem, jaknajmniej nastroszone dalekiemi przenośniami, pojęciami abstrakcyjnemi i tematami nie ze światka dzieci zaczerpniętemi.

Jeszcze słówko.

Od niedawna rozbudziło się wśród nas zamiłowanie do muzyki; dowodem tego liczne stowarzyszenia, mające na celu pielęgnowanie tej gałęzi sztuk pięknych. Setki większych i mniejszych utworów muzycznych corok opuszczają prasę drukarską i pono niezłym wcale cieszą się pokupem. Darmobyśmy jednak między niemi szukali takich, którebyśmy i dziatwie naszej podać mogli. Wprawdzie rok temu ukazały się dwa śpiewniki dla dzieci, ale to jeszcze nie dziesiątki, nie setki, jakie corok we Francyi lub Niemczech się ukazują. Czyżby nam się wydawało, że nauka śpiewu w wychowaniu jest zbyteczną? Nie, my wiemy, jak drogą dla naszej dziatwy winna być swojska piosenka.

Stefan Gębarski.

PAMIĘTNIKI KSIĘŻNICZKI ARABSKIEJ.

PRZEZ

Emilią Ruete.

(Dalszy ciąg.)

W pierwszych latach życia biegała boso i w koszulce po krużgankach i podwórcach Bet-il Mtoni razem z innemi książątkami równego wieku. Bębny te, zaledwie zdolne były zgrupować jakiekolwiek pojęcia w swej głowie, brały już udział w kłótniach matek i kojarzyły się gromadkami według wspólności rasy. Dzieci Czerkiesek dowiadywały się wcześnie, że matki ich kosztowały drożej niż sarari czarnoskóre i uczyły się pogardzać siostrami i braćmi urodzonymi z Abisynek. Dzieci Abisynek wzamian płaciły im nienawiścią, nie mogły bez gniewu patrzeć na ich skórę jasnego lub białego koloru i nazywały ich obelżywem mianem „kocich synów,” dlatego że spotykały się wśród nich niebieskie oczy. Książątka jednej barwy dzieliły się jeszcze na mniejsze gromadki, trafiało się jednak, że przyjaźń zakwitała u jednostek należących do przeciwnych obozów, wbrew kastowym przesądom. Każdy wybierał sobie rodzinę wsród tej potwornej rodziny: każdy brat miał jakąś ulubioną siostrę, powiernicę i sprzymierzoną, i oboje miało ukochane macochy. Niekochanych zaś trzymano zdaleka, żywiąc względem nich wielką nieufność, sądząc nie bez słuszności, że kto nie z nami, ten przeciwko nam.

Księżniczkę Salme nie gorszą wcale te szczegóły. Nie rzucają najmniejszego cienia, nie napawają goryczą błyszczących i słodkich wspomnień ojcowskiego domu, przedmiotu wiecznego jej żalu.

Nie zeznaje ona bynajmniej dzikości swojej rodziny, gdy opisuje, jakiem radosnem drżeniem przejmowała mieszkanki Bet-il-Sahelu wieść o pojawieniu się suchot u której z koleżanek. Liczyło się na tego częstego gościa, że zrobi trochę miejsca w przepełnionym pałacu i że, dzięki jemu, będzie można dostać lepszy pokój. Najlżejszy kaszel rozlegający się za ścianą budził uwagę czułych przyjaciółek, niepokojących się o to tylko, ażeby ten objaw nie był zwodniczy, podczas gdy w myśli przyozdabiały już nowy apartament.

„Podobne myśli były niezawodnie grzeszne—dodaje księżniczka Salme,— ale istotnie przepełnienie w pałacu było straszne.”

Nieprawdaż, że ten ton spokojny i swobodny dreszczem przejmuje?

Trzeba przyznać, że związki rodzinne są zbyt rozległe w tych olbrzymich haremach, ażeby głos krwi mógł mieć dużo znaczenia. Dziwić się tylko należy, że miłość synowska tak bardzo jest gorąca i cud to prawdziwy, jeżeli się zważy, na jakie próby jest ona wystawiona.

Wszystkim książętom i księżniczkom krwi wpajano jako najświętszy obowiązek miłość i szacunek dla ojca i dla bibi Azze; w Bet-il-Mtoni najpierwszą czynnością dnia po modlitwie i kąpieli było oddanie pokłonu tym dwom potęgom i ucałowanie ich ręki. Sedżid-Said przyjmował hołdy bardzo łaskawie, sprawdzał czy klejnoty malców były w komplecie, a włosy uczesane, i rozdawał im francuzkie cukierki. Bibi Azze podawała swą małą wyschłą rączkę do pocałowania z miną lodowatą i, coprawda, te dziewczątka niepochodzące z jej krwi, ci chłopcy zajmujący miejsce należne jej synom, gdyby ich miała, mogli w niej budzić tylko obojętność jeżeli nie rozdrażnienie i niecierpliwość. Po oddaniu hołdu rodzina zbierała się na śniadanie i wtedy dzieci zrodzone z sarari miały sposobność porównywania swej wielkości z nicością tych, które im dały życie.

Stół był nakryty w krużganku lub w wielkiej sali, wysoki był na pół stopy i tak długi, że wszyscy synowie, wnuki, wszystkie córki, wnuczki i ich potomstwo mogli pomieścić się przy nim. Sułtan siedział na końcu stołu, wschodnim obyczajem na dywanie, a wspaniała jego dynastya po obu stronach stołu według wieku. Książęta, mieszkający poza obrębem pałacu i pożenieni, przyprowadzali swoich synów.

Bibi Azze przychodziła do stołu nie zawsze, wtedy tylko gdy miała ochotę, siostra Sedżie-Saida toż samo. Ani jedna suri, choćby była matką następcy tronu, nie była dopuszczaną do jadania przy królewskim stole; według hierarchii uznanej w pałacu, były one shańbionemi i nieprawemi matkami prawych i dostojnych dzieci pana.

Niema też o nich wzmianki w opisie wieczornych zebrań. Po obiedzie, który był jakby powtórzeniem śniadania, Sedżid-Said wychodził przed swoje apartamenta i zasiadał na fotelu po europejsku. Potomstwo jego umieszczało się dwoma szeregami po prawej i lewej stronie, dzieci stojąc przez uszanowanie, starsi na krzesłach. Wtyle eunuchowie w paradnych strojach stali oparci o ściany pałacu, a kiedy wszyscy byli na miejscach, rozpoczynały się rozrywki wieczorne.

Roznoszono kawę i sorbety, ustawiano olbrzymią katarynkę, tak wielką, że księżniczka Salme nigdy podobnej nie widziała w Europie. Niewolnicy kręcili korbą, a sułtan słuchał z wielką powagą. Czasem grająca skrzynka zastępowała miejsce kataryki, lub też niewidomy śpiewał pieśni arabskie. Po upływie półtorej godziny, Sedżid-Said podnosił się i wracał do siebie; było to hasłem rozstania. Następny wieczór podobny był do wczorajszego, rok jeden niczem się nie różnił od drugiego roku, ani programem rozrywek, ani zmianą w nieugiętej etykiecie rządzącej dworem.

W ten sposób wszystko się składało na to, ażeby wpoić w umysły dzieci sarari przekonanie, że matki ich są istotami niższemi, które im tylko zawdzięczają swój byt i które straciłyby stanowisko, tracąc dzieci. Wiedziały one dobrze, że suri, której dziecię umarło, mogła być sprzedaną komu innemu, i że mężowie arabscy korzystali z tego prawa, gdy im się sprzykrzyła która z tych nieszczęśliwych. Wiedziały także dzieci, że po śmierci ojca matki będą zależały od nich w zupełności, bo w Zanzibarze niema zwyczaju zapewniać losu wdowom. Matka, którą dzieci odepchnęły, nie miała innego sposobu do życia, prócz żebraniny.

Jedna z siostrzenic księżniczki Salme, imieniem Farszu, miała matkę Abisynkę dzikiego i gwałtownego charakteru; gdy ojciec Farszu umarł, pokłóciła się ona z matką i porzuciła ją zupełnie. Sta-

ra suri napróżno usiłowała pracą zarobić na życie i byłaby umarła z głodu, gdyby się nad nią nie zlitowała jedna z dawnych jej bratowych, która ją wzięła do siebie.

Podobne wypadki niewdzięczności ze strony dzieci są niesłychanie rzadkie, co mówi na pochwałę Arabów. Zwykłe, upokarzające obejście, którego matka doznaje, nie wpływa wcale na ich uszanowanie, widok próżniaczego i zmysłowego życia matek, ich złości i intryg nie osłabia czułości dzieci.

Wszyscy książęta z krwi Sedżid-Saida zabierali ze sobą matki, gdy po dojściu do pełnoletności opuszczali ojcowski pałac, udając się do własnego gniazda, pielęgnowali je aż do śmierci, otaczając staraniem, które nadawało godność starości tych kobiet, tak okrutnie sponiewieranych za swoich lat młodych. Dla biednej suri macierzyństwo jest odwetem za brak praw małżeńskich.

„Stosunki jej z dziećmi — mówi księżniczka Salme — wynagradzają ją hojnie za niedogodności wynikające z wielożeństwa i stwarzają dla niej także życie rodzinne, szczęśliwe i spokojne."

Słowa te przynoszą zaszczyt narodowi i są dowodem szlachetności jego charakteru. Pomimo to, człowiek z Zachodu nie może pojąć, dlaczego uczucie poszanowania i miłości dla matki nie przenosi się na cały rodzaj kobiecy i zadziwia go i razi nielogiczność zamykająca sarari tych synów wzorowych w ograniczonej roli samic.

Sedżid-Said zajmował się dziećmi o tyle, o ile można wymagać od ojca rodziny tak licznej. Odnośne ustępy w „Pamiętnikach" przekonywają, że serce sprawiedliwego jest oceanem bezdennym uczucia. Stary sułtan radował się szczególną obfitością narodzin, lecz ospa, suchoty, cholera i tyfus miały obfite żniwa w jego pałacach, tak, że umierając, pozostawił po sobie osiemnastu synów i tyleż córek, szczątki bajecznie licznej rodziny, której szczerby, przez śmierć spowodowane, natura niedostatecznie już zapełniała pod koniec jego życia. Tyle radości i tyle żałoby powinnoby samą siłą przywyknienia stępić mniej głęboką uczuciowość, lecz Sedżid-Saida wrażliwość zdołała oprzeć się tylu wstrząśnieniom i córka opowiada nam z rozczuleniem, jak stał, płacząc rzewnie przy łożu umierającego syna, on, taki już stary i mający „przeszło czterdzieścioro dzieci."

Zdaje się doprawdy, że znał je wszystkie. Wiemy już, że zwracał uwagę na ich strój, czuwał nad tem ażeby chodziły do szkoły i sam osobiście zalecał nauczycielce, żeby nie szczędziła im kija. Prowadził ze sobą chłopców na przechadzki i kazał ćwiczyć nauczycieli konnej jazdy, gdy który z uczniów popełniał błędy; było to słuszne i sprawiedliwe, ponieważ nauczyciele mieli nadaną nieograniczoną władzę.

Przyprowadzano przed jego oblicze uczniów schwytanych na gorącym uczynku, którym sam naznaczał karę. Jeden z braci, „bardzo zuchwały," wypuścił strzałę na małą Salme i zranił ją w bok.

„Mój ojciec rzekł: „Salme, idź i zawołaj tu Hamdana." Zaledwie weszłam z bratem, ojciec obsypał go straszliwemi słowy, które pewnie długo pamiętał."

Dawał dzieciom upominki, wyposażał je, gdy pora nadeszła, i codzień przepędzał w ich towarzystwie półtorej godziny, na słuchaniu katarynki i grających pudełek. Iluż to ojców w chrześciańskich rodzinach niewięcej czyni dla swoich dzieci, nie mając nawet tej wymówki, co stary sułtan? Iluż rodziców zadawalnia się powierzchownem kształceniem dusz oddanych pod ich pieczę i nie zadaje sobie nigdy trudu poznania choćby jednej myśli swych dzieci, choćby jednego ich życzenia, choćby jednej tajemnej troski?

Nauka niewielką grała rolę w tem wychowaniu; zamiast wiedzy, wszczepiano tylko metodę, urabiającą umysły w ten sposób, że nic już później nie miało do nich przystępu. Jeden szczegół zadziwia w tem arystokratycznem społeczeństwie: ten sam zakres nauki był dla przypuszczalnego następcy tronu, co dla syna niewolnika. Jedna szkoła była dla wszystkich i jedna w niej klasa, dziwacznie pomieszana i jeszcze dziwaczniej prowadzona, a mieściła się w otwartej galeryi pałacu. Ptaki z podwórca rozsiadały się w niej swobodnie, maty na posadzce stanowiły jedyne umeblowanie. Cały tłum uczniów i uczennic pochylał grzbiety pod kijem bezzębnej nauczycielki, która rozdawała wiedzę i ciosy według zasad ścisłej równości, bez względu na wiek i położenie.

Tej samej lekcyi uczyli się młode książątko i jego czarny sługa, i na obu spadały takie same chłosty, sypane zapamiętale przez dziką niewiastę, podniecaną groźnemi upomnieniami sułtana. Jedna tylko księga była w klasie: Koran. Niemożna powiedzieć, że królował w szkole; cała szkoła w nim się streszczała.

Początkujący uczyli się czytać na Koranie. Kiedy już nauczyli się sylabizować, wprawiali się w chóralne czytanie wersetów, bardzo głośno, i w powtarzaniu ich z pamięci. Szli tak do końca Koranu i zaczynali nanowo poraz drugi, trzeci, czwarty, nie słysząc nigdy jednego słowa objaśnienia, rozumiejąc to tylko, co nie przechodziło ich pojęcia, obawiając się zatrzymać myśli na wyrazach świętego tekstu, bo wiedzieli, że „bezbożną i zakazaną jest rzeczą zastanawianie się nad księgą świętą: człowiek powinien wierzyć z prostotą." Nakaz ten zachowywano ściśle w Zanzibarze. Pierwszym obowiązkiem mistrza było nie dopuścić ucznia do myślenia nad tem co zadane, do zadawania pytań i objaśnienia jakiejkolwiek myśli, ażeby zakorzenić nazawsze w ich młodych głowach zwyczaj bezmyślnego powtarzania. Obdarzeni dobrą pamięcią dochodzili do tego, że pod koniec pierwszego roku umieli połowę Koranu. Inni dwa lub trzy lata przepędzali na bąkaniu wersetów, zanim doszli do podobnego rezultatu. Czasami zdarzało się, że jakiś młodzieniec, bardzo świątobliwy lub bardzo zuchwały, ośmielał się rozumować i szukał objaśnienia, lecz to trafiało się bardzo rzadko. „Zaledwie jeden z tysiąca," upewnia księżniczka Salme.

Udzielano im także potrosze gramatyki i ortografii i uczono rachować do tysiąca, nigdy więcej. „Co przechodzi poza tę cyfrę — mowi mądrość mahometańska — od szatana pochodzi." Wykształcenie dziewcząt mieściło się w tych samych granicach, z wyjątkiem umiejętności pisania, która jest niewłaściwą dla kobiety, chłopcy zaś uczyli się pisać przepisując Koran, poczem studya ich uważały się za skończone. Geografii i historyi z nazwiska nawet nie znano w Bet-il-Mtoni: co do nauk przyrodniczych, zaznacza księżniczka Salme mimochodem, że studyowanie ich razi pobożną duszę Araba, który nie może uznawać żadnych praw, naturą rządzących. Arab z Zanzibaru uważa, że samo przypuszczenie istnienia tych praw i sił obok woli Boga, nawet choćby się zgodzić na to, że Bóg jest ich źródłem, byłoby już bluźnierstwem względem Niego: „Cała istota moralna Araba zachwiałaby się wobec takiego przypuszczenia, dusza jego rozstroiłaby się pod wpływem podobnej nauki" — powiada Salme.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DUSZA PIOTRA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

W tej chwili przypomniał sobie Piotra. Wszak i jego uwielbiała Klemencya, a wkrótce odepchnęła jego miłość. Jak on cierpiał, biedny Laurier, potem swoim, krwią i łzami starał się okupić każdą jej przyjemność! Dla niej zmarnował talent; Jakób znał dobrze wszystkie tajemnice nieszczęśliwej miłości swego przyjaciela. Widział jak staczał się coraz niżej, jak nie dbał o godność swą, gdy purpurowe usta kobiety wabiły go czarującym uśmiechem. Było zatem coś szatańskiego, czy boskiego w tej istocie, zdolnej wzbudzać w sercach męzkich taki szał namiętnego uczucia. Rywalką, która mogła ją zwalczyć, była tylko śmierć, ale dlaczego przyjaciel niejako narzucił mu jej miłość? Czy dlatego, aby go pomścił?

Zdawało mu się, że Piotr spogląda nań smutnemi oczyma, szepcąc cicho:

— Strzeż się, dałem ci życie, ale ona ci je wydrze. Jedynem jej dążeniem jest gubić innych, ona jest niejako karą za ludzką podłość, kłamstwo i samolubstwo, ona mści się za wszystkie nasze występki. Ta kobieta jest uosobieniem siły przeznaczenia. Popychana przez jakąś fatalność, karze słabych i winowajców. Strzeż się jej, Jakóbie! Patrz, co uczyniła zemną; ona kłamała, gdy mówiła, że pragnąłem abyś ją pokochał. Nie, ja ze wstrętem odwracam się od niej; wszak aby uciec od niej, rzuciłem się w objęcia śmierci. Nie wierz jej, unikaj nawet jej spojrzenia, gdyż ono poniża każdego. Pocałunek jej to gorzka trucizna; oddal się od niej, aby potem nie było zapóźno. Wybieraj pomiędzy życiem a śmiercią.

Ponura postać Piotra Laurier znikła i Jakób widział znów przed sobą tylko morze i ten uroczy, samotny zakątek, na który przyroda hojną dłonią rozsypała swe dary.

— Zaczynam stawać się zabobonnym — rzekł sobie w duchu. — Cóż znaczą te obawy i przywidzenia, które mnie dręczą? Czyżby moje życie miało zależeć od kaprysu tej kobiety; a zresztą dlaczegóż miłość jej miałaby mnie zgubić? Wszystko to jest wynikiem osłabienia; nie wyzdrowiałem jeszcze zupełnie. Ale z czego wypływa mój niepokój, jakiemu przesileniu moralnemu podlegam? Czy jest coś nagannego w tem, że kocham kobietę, którą Piotr kochał poprzednio? Na to najbardziej oburza się moje sumienie. Czyżbym popełniał co złego? A zresztą czy osobiste fantazye i zwyczaje towarzyskie nie wpływają na to, co nazywamy złem lub dobrem?

— Prawem, które nami rządzi, powinno być to, co nam się podoba i czego pragniemy — odpowiedziało samolubne jego uczucie.

I chociaż rozum nasuwał mu rozmaite argumenta, serce było na nie głuche; nie widział blasków słonecznych, igrających na błękitnych falach, tylko

ponętną o postać pięknej kobiety, oczekującej nań niecierpliwie. Wiedział, że dziś w Niszy będzie zabawa i że deszczem kwiatów witają przejeżdżających na promenadzie angielskiej. Domyślał się, że Klemencya będzie tam także i powiedział sobie, iż w krótkim czasie musi się znaleźć obok niej.

— Czy masz być jej niewolnikiem? — wołał rozum. — Masz więc tak mało dumy i odwagi? Zostań, zostań!

Lecz Jakób nie słuchał głosu rozsądku. Ta sama magnetyczna siła, która przykuwała do Klemencyi Piotra Laurier, oddziaływała już na niego. Wdzięk tej kobiety zwyciężał postanowienie silnej woli, szydził z oddalenia i rozsądku.

Jakób wrócił do domu, wziął płaszcz, kapelusz i, nie pożegnawszy się z matką i siostrą, odjechał do Nizzy.

V.

Namiętność, jaką Klemencya wzbudziła w Jakóbie, objawiła się tem silniej, im bardziej była przytłumioną. Chwilowy kaprys zbliżył tych dwoje ludzi, pokochali się jednak szalenie i dwa tygodnie upłynęło im jak sen czarowny, w rozkosznej willi, położonej na drodze do Mentony, wśród drzew pomarańczowych i wyściełanych jedwabiem mebli, zdobiących salon w stylu maurytańskim.

Wieczorem Jakób wyrywał się zpod wpływu wdzięków czarodziejki i wracał do Beaulieu. Matka i siostra widywały go teraz rzadko, rano lub wieczorem. Pani de Vignes ze smutkiem widziała, że syn, wracając do zdrowia, rozpoczyna dawniejszy tryb życia.

Zrobiła mu nawet uwagę, którą Jakób przyjął z uśmiechem, zapewniając, że ma się dobrze i że matka nie powinna się niepokoić. I nie czekając jej rad i próśb, udał się na stacyą kolei żelaznej i pojechał do Monte Carlo.

Matka i córka pozostały więc same i czas upływał im w smutku i tęsknocie. Jakób rzucił się w wir uciech, które zniweczyły talent Piotra Laurier, poniżyły jego charakter, odebrały mu odwagę i zrobiły z wielkiego artysty człowieka bezsilnego, który w śmierci szukał zapomnienia swej świetnej przeszłości.

Klemencya, tem bardziej niebezpieczna, im więcej okazywała się szczerą, twierdziła że kocha tak, jak nigdy nie kochała. Piękny, nieco zniewieściały blondynek był dla niej w tej chwili ideałem męzkiej urody. Zawładnęła też nim do tego stopnia, że Jakób żył tylko jej myślą, każde jej życzenie było dla niego prawem. Miłość Klemencyi przenikała go do głębi duszy, tętniała w każdem uderzeniu jego serca. Była ona jak gdyby złym duchem, przeznaczonym do dręczenia nieszczęśliwego, który nie pojmował głębokości swego upadku.

Nadeszła wreszcie chwila wyjazdu; Klemencya, nie mogąc się pogodzić z myślą rozstania się z Jakóbem, postanowiła jechać także do Paryża. Oboje z żalem opuszczali ten kraj rozkoszy, jakby stworzony dla miłości. Pocieszała ich tylko nadzieja, że w Paryżu częściej widywać się będą mogli.

Powrót wywarł jednak odrębne zupełnie wrażenie na nich obojgu. Jakób z radością ujrzał stolicę, której myślał że nigdy już nie zobaczy; ruch panujący na ulicach i gwar tłumów upajały go, łagodny klimat i śliczne okolice wydały mu się teraz mniej pięknemi, przekładał nad nie mgliste niebo i szerokie, brukowane ulice wielkiego miasta. Z radością zajął dawne swoje kawalerskie mieszkanie i cieszył się odzyskaną swobodą.

Klemencya zamieszkała we wspaniałym pałacu przy ulicy Hoche i, razem ze zbytkiem, rozpoczęła gwarne i wesołe życie. W Monte Carlo żyła w ciszy i spokoju, jak zwykła mieszczanka, tu prowadziła dom otwarty, wyrzucając rocznie trzykroć sto tysięcy franków. Jakób nie poznawał jej; wzięcie jej, mowa, sposób obejścia zmieniły się zupełnie. Była to teraz kobieta przywykła do rozkazywania i uzbrojona do walki z życiem.

Zawsze okazywała Jakóbowi żywą miłość i pragnęła stosować się do jego życzeń, ale młody człowiek widział, że nie posiada już nad nią tego samego co dawniej wpływu. Klemencya dostrzegła to wrażenie i starała się je zatrzeć, okazywała się łagodną i pieszczotliwą, jak w pierwszych chwilach ich poznania.

Ale Jakób nie mógł już odzyskać spokoju. W Monte-Carlo mniemał, że Klemencya jego tylko kochała, lecz po przyjeździe do Paryża złudzenie się rozwiało i Jakób uczuł się nieszczęśliwym. Brak serca i szlachetniejszych uczuć Klemencyi ukazywał mu się teraz coraz częściej, pomimo to miłość potęgowała się jeszcze bardziej, podniecana ciągłemi przeszkodami.

Klemencya, z przenikliwością właściwą wszystkim kobietom, a mianowicie takim, które potrafią wyzyskać głupotę i próżność męzką, odgadła odrazu stan jego umysłu. Wiedziała ona oddawna, że u mężczyzn przekonanie o wzajemności uczucia wyraża obojętność i że największą podnietą miłości jest niepewność. Widząc niepokój i zazdrość Jakóba, cieszyła się tem złośliwie, że go trzyma w zawieszeniu i że pozwala mu się wszystkiego spodziewać, nie spełniając jego nadziei. Tym sposobem potęgowała jego uczucie i dręczyła go z wyrachowanem okrucieństwem, łagodząc znów niekiedy jego cierpienia.

Jakób zdala od Klemencyi stawał się pochmurny i małomówny; obojętność jego i rozdrażnienie niepokoiły bardzo matkę. Długie godziny przepędzał, leżąc na kozetce i paląc papierosy, zaprawione opium, które odurzały jego umysł. Dotychczas zdrowie jego nie ucierpiało jeszcze, ale bladość zastąpiła kwitnące rumieńce, które pozyskał w Nizzy. Siłą woli i nerwów podtrzymywał zdrowie i codzień w klubie grywał całemi nocami z nadzwyczajnem szczęściem. Zarabiając tak łatwo, puszczał też nieoględnie pieniądze i obsypywał zbytkiem Klemencyą, obdarzając ją drogocennemi podarunkami, tak jak różami i fijołkami w Monte Carlo.

Zwolna gra w karty, która zpoczątku była dla niego rozrywką, stała się wkońcu namiętnością. Polubił ją nietyle dla zysku, ile dla wzruszeń, które nastręcza. Grał obojętnie napozór, przerzucając tysiącami franków, i ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy, chociaż wewnątrz wrzał wulkan sprzecznych uczuć. Kiedy po dwóch godzinach podobnej gry, szczęście przechylało się na jego stronę, umysł, podniecany przedtem pragnieniem tryumfu, rozkoszował się spokojem i Jakób zapominał w tej chwili o wszystkiem, co nie było grą.

Klemencya spostrzegła wkrótce, że ma rywalkę w sercu Jakóba, ale nie trwożyła się tem bynajmniej, gdyż sama mniej teraz dbała o jego przywiązanie, bawiła się i nie miała czasu odgrywać komedyi miłości z takiem upodobaniem, jak w Monte Carlo.

Zresztą sielankowa miłość zaczęła ją nudzić. Z chwilą, gdy uczucie Jakóba przestało być dla niej owocem zakazanym, straciło także i powab. W tym razie nie różniła się bardzo od ogółu kobiet. Jakób poczęści sam mógł sobie przypisać winę jej zobojętnienia, zapomniał bowiem o tej nieomylnej zasadzie, rządzącej krainą uczucia:

„Miłość kobiety jest w bezpośrednim związku z poświęceniem, na jakie musi się narażać, aby tę miłość zadowolić.”

Kochając stale Klemencyą, Jakób mógł być pewny, że go wkrótce zdradzi i porzuci; ale choć go mniej teraz kochała, nie myślała zwrócić mu wolności—z natury nie była tak wspaniałomyślna i lubiła dręczyć, gdy obojętniała. Laurier rok prawie przeżył w podobnych mękach, aż wreszcie w śmierci szukał uwolnienia od cierpień.

Jakób nie dostrzegał jeszcze zmiany jej uczuć. Piękna kobieta łudziła go uśmiechem, słowem i spojrzeniem. Młody człowiek rzadko teraz odwiedzał matkę, ciągły smutek dwóch kobiet przykre na nim czynił wrażenie. Julia prawie bez choroby bladła i mizerniała ciągle; wysiłkiem woli udawała wesołość, aby nie martwić matki. Pani de Vignes przeczuwała, że córka gra komedyą, ale zostawiała jej pod tym względem pewne złudzenie, obie więc oszukiwały się wzajemnie w szlachetnym celu.

Zawezwani doktorzy stwierdzili anemią, zresztą nie widzieli żadnej choroby. Można było mniemać, że Jakób odebrał siostrze czerstwość i doktorzy dziwili się niezmiernie, widząc obecnie brata w pełni sił i zdrowia, a siostrę coraz słabszą i szczuplejszą.

Nadszedł Czerwiec i Klemencya zapragnęła jak corocznie wyjechać do Deauville. Od lat kilku spędzała tam lato we wspaniałej willi. Jakób zgadzał się na to, lecz nie chciał przyjąć gościnności w domu pana Selima Nuno, bogatego bankiera, do którego należała willa.

— Pocóż mam zrażać tak wiernego przyjaciela, jakim jest Nuno? — mówiła Klemencya. — Chyba nie jesteś o niego zazdrosny, Jakóbie?

— Nie, ale wolę wynająć inny dom i nie zaciągać u nikogo długów wdzięczności. Jeżeli zgodzisz się na moję propozycyą, życie upływać nam będzie zarówno mile, jak w Monte Carlo; będziemy znów nad brzegiem morza, w rozkosznej samotności.

Mówił to z zapałem, lecz Klemencya słuchała go obojętnie; głos jego, tak dawniej słodko pieszczący jej uszy, brzmiał teraz pospolicie, odpowiedziała więc tylko uśmiechem, który Jakób przyjął za dobrą wróżbę.

— Kochałam go cztery miesiące, czyż to nie dosyć? — mówiła sobie tymczasem w duchu Klemencya. — Doprawdy, on mnie już nudzić zaczyna.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Piśmiennictwo.

Mamy przed sobą zeszyt szesnasty **„Literatury polskiej,”** dzieła wydawanego przez firmę Gebethnera i Wolffa, jako część ogólniejszego „Wydawnictwa,” a napisanego przez A. Brezę. W zeszycie tym spotykamy dokończenie rzeczy o Wacławie Potockim i „Wojnie Chocimskiej,” następnie zaś wiadomości o Kochowskim, Morsztynach, Drużbackiej, o księdzu Bace, o Sarbiewskim i poetach łacińskich tego okresu, a wreszcie i początek o dramacie.

„Literatura” Brezy w wyszłych dotąd zeszytach scharakteryzowała się o tyle, że można jej przyznać zalety wielkiej jasności wykładu i, co za tem idzie, popularności. Z obrabianego dotąd mate-

ryału widać, że autor nie powtarza cudzych zdań, ale wypowiada własne, że literaturę ojczystą zna źródłowo i że na jego opiniach polegać można. Po dziele Syrokomli książka ta najsilniej zaleca się po parciu ogólnemu, jako najprzystępniejsza wykładem, dalekim od rutynicznego schematyzmu. Niemałą też zasługą autora jest, że w piśmiennictwie śledzi rozwój języka i że ustawicznie wskazuje jego objawy. Traktuje też literaturę polską porównawczo i nie uważa jej za odosobnioną placówkę w cywilizacyi europejskiej. A dla tych właśnie zalet „Literaturę” jego polecamy gorąco.

Pod tytułem **„Anglia wszechmożna”** napisał pan Edmund S. Naganowski powieść obyczajową w 2-ch tomach, która ukazuje nam społeczeństwo angielskie w rysach rzeczywistych, pochwyconych z natury. Treść tej powieści jest bardzo prosta. Młody Rogowski znalazł się na bruku londyńskim w kłopotach i niedostatku, które dochodzą aż do nędzy. Bohater powieści nie ma co w usta włożyć i aby zdobyć kilka groszy, pomaga w robocie zamiataczowi ulicznemu. W takiem położeniu spostrzega go zbogacony parweniusz, bankier, u którego Rogowski dostaje pracę. Jest wykształconym, dobrze wychowanym, ma nawyknienia panicza, ale funkcyą swą rozpocząć musi od adresowania listów i... zamiatania biura.

Nie szkodzi mu to wcale w dalszej karyerze.

W bardzo krótkim czasie młodzieniec dobija się stanowiska naczelnika sekcyi w biurze swego chlebodawcy, który wprowadza go do własnego domu, a ztamtąd i do najarystokratyczniejszych salonów stolicy. Rogowski w tych wędrówkach salonowych poznaje córkę barona i posła, pannę z wielkiego świata, kocha ją, zyskuje wzajemność i... wreszcie zaślubia.

Taka jest bajka powieści, w szczegóły barwne i charakterystyczne bogatej, choć trochę niejasnej i powikłanej, w której autorowi nietyle chodziło o bajkę samę i romans, o Rogowskiego i jego losy, ile o wierny konterfekt tego oryginalnego społeczeństwa Albionu, w którem, jeśli tak jest w naturze, jak w książce, prawda i praca stoją ponad wszystkiemi wymogami kast i stronnictw, upodobań i słabości. Czerstwość i zdrowie społeczne ujawniają się tu w słowach, czynach i przejściach.

Z ogólnego obrazu widać to nadewszystko, że nikt tam nie żyje na żart, dla zabawki. A jeżeli istotnie społeczeństwo angielskie jest takiem, to nic dziwnego, że Rogowski, zamiatacz, sięga po rękę córki arystokraty i otrzymuje ją. Powtarzam: nic dziwnego, jeżeli to wszystko prawda...

Autor z talentem niemałym czyni w powieści folgę swym osobistym sympatyom — może i zasłużonym — nie wiemy. Obraz nakreślony przezeń jest piękny bardzo i imponujący, a dla społeczeństwa angielskiego nad wyraz korzystny. Niema w nim ani odrobiny miejsca dla znanego egoizmu synów Albionu...

Rz.

Z chwili bieżącej.

---

* **Gwiazdka.** Filantropia nasza, wiecznie czynna i niezmordowana, nigdy spraw swoich nie zasypia i zawsze zawczasu przygotowuje sobie teren dla swojej dobroczynnej działalności. To też już dziś możemy donieść, że dzięki jej zabiegom i uczynności prezydenta miasta Warszawy, generała Starynkiewicza, tegoroczna „Gwiazdka” ma już zapewnione wyborne pomieszczenie, bo w przestronych i pięknych salach ratuszowych. W samej głównej sali ma się pomieścić ośmnaście sklepów, oprócz tych co się w innych pomniejszych rozłożą. Dary i deklaracye od panów kupców już napływać zaczęły.

* **Nauka gospodarstwa miejskiego dla kobiet** wciągnięta została w program znanego chlubnie zakładu naukowo-rękodzielniczego hr. Plater-Zyberkówny i niebawem rozpoczną się odpowiednie wykłady. Kurs nauki będzie trzymiesięczny, a między wykładanemi przedmiotami znajdą się: zakup artykułów żywności, sposób prowadzenia rachunków domowych, kucharstwo, pieczenie ciast, urządzenie apteczki domowej i t. d. Oczywiście od kandydatek wymagane zapewne będą pewne już kwalifikacye, w przeciwnym bowiem razie trzymiesięczny kurs na naukę tylu przedmiotów byłby bezwzględnie zakrótki.

* **Realizm teatralny w Ameryce.** Realistyczne zachcianki i dążności scen europejskich są żartem, zabawką, w porównaniu z tem, co się w tym kierunku dzieje w Ameryce. W Nowym Yorku grywają obecnie sztukę, której bohater zostaje przez nieprzyjaciół swoich przywiązany w tartaku parowym do belki, która ma być przepiłowaną, a zatem i on wraz z nią, ma się rozumieć. W ostatniej dopiero chwili, kiedy zęby piły zbliżają się na 5 centymetrów do ciała przywiązanego, wpada na scenę jego kochanka i przecina krępujące go sznury.

Notabene: tartak jest prawdziwy, prawdziwą maszyną parową poruszany, piła prawdziwa, prawdziwa belka i aktor przywiązany jest do niej naprawdę. Gdyby zatem kochanka o minutę się spóźniła, kochanek zostałby najrzeczywiściej przepiłowany na scenie. Ale właśnie ta ostra przyprawa stanowi przysmak dla moralnych podniebień Amerykanów. Można im powinszować, ale nie zazdrościć.

* **Dawniej a dzisiaj.** Jak dalece zmieniają się stosunki, obyczaje, oświata, słowem cały stan i warunki społeczeństw ludzkich, mamy tego na Włochach dowód uderzający. Piękna ziemia italska była niegdyś źródłem, z którego dla nauki i sztuki ożywcze tryskały zdroje. Ona przechowała w sobie od zaguby skarby cywilizacyi starożytnej, nad nią zeszły pierwsze promienie Odrodzenia; ona wydała takich olbrzymów poezyi jak Dante i takich tytanów sztuki jak Vicci, Michał Anioł, Rafael i tylu, tylu innych. A dziś, czy wiecie jakim wynalazkiem te niegdyś zwiastuny światła i gońce piękna poszczycić się mogę?... Oto wynalazkiem kagańców na ludzi, które gdzieindziej dla psów już zostały zniesione!

Tak jest: właściciele winnic w prowincyi weneckiej najmowanym przez siebie robotnikom nakładają kagańce, żeby im winogron nie zjadali. Wnosząc z tego, Włochy przynajmniej tem pocieszać się mogą, że kwestya socyalna nieprędko się jeszcze u nich przebudzi.

* **Soboty gwiazdkowe.** Za sprawą i orędownictwem pani baronowej Harting, od kilku tygodni co sobotę zbierają się młode panienki, które zapomocą czarodziejskiego narzędzia *igłą* zwanego z lada kawałków jakiejś materyi, z gałganków napozór do niczego niezdatnych, stwarzają fartuszki, sukienki i inne ubranka przeznaczone dla biednych dziatek na „gwiazdkę.” Panienki te dokazują prawie cudów, ale ostatecznie z niczego tworzyć nie mogą; prawdziwą więc usługę biedzie wyświadczy każdy, kto zechce w domu wyszukać bądź stare sukienki czy suknie, bądź kawałki nowe, ale już do jego własnego użytku niezdatne, i odeszle to pod adresem zacnej inicyatorki „sobót gwiazdkowych:” alea Jerozolimska nr 21.

* **W sprawie metody doktora Kocha.** Doktor O. Bujwid, znany nasz bakteryolog i przełożony lecznicy metodą Pasteura, powróciwszy z Berlina, przywiózł pewną ilość limfy doktora Kocha, która, po utworzeniu odnośnej komisyi, rozdaną została lekarzom naczelnym wszystkich warszawskich szpitali, celem przeprowadzenia w nich doświadczeń. Możemy tedy, a nawet powinniśmy się wstrzymać zarówno z hymnami uwielbienia, jak znieuzasadnioną niewiarą w metodę berlińskiego doktora. Lepiej zawsze na końcu cieszyć się, niż rozczarowywać.

* **Likwidacya Zwierzyńca** ostatecznie postanowiona została. Resztę pozostałych przy życiu zwierząt oceniono jeszcze na 6.623 rs., a zbiory etnograficzne na 7,330 rs., ale z tego 5,000 rs. odchodzi na przedmioty ofiarowane nie spółce, ale Muzeum etnograficznemu przy Ogrodzie zoologicznym. Ponieważ Spółka poza obrębem kapitału zakładowego w ilości 62,760 rs. zrobiła jeszcze długu 27,507 rs., a ze sprzedaży wpłynie conajwięcej 12,000 rs., przeto długi niespłacone wyniosą 15,483 rs., z których 7,000 rs. przypada na wierzytelność b. gerenta spółki.

* **Straszna zbrodnia.** We środę dnia 19 b. m. w wagonie pociągu kuryerskiego kolei żelaznej warszawsko-bydgoskiej, między stacyami Łowiczem a Pniewem, około godziny 6 wieczorem spełnione zostało podwójne morderstwo na osobach ś. p. Schmitta i Kuźnickiego, oficyalistów Towarzystwa fabryk cukru, wiozących ze sobą 50,000 rs., które zrabowane zostały. Ciała zamordowanych znaleziono powyrzucane obok plantu kolejowego; mordercy zniknęli, wyskoczywszy prawdopodobnie, gdy pociąg zwolnił bieg, dojeżdżając do Pniewa. Zbrodnia spełnioną została z nadzwyczajną śmiałością i determinacyą. Od Łowicza w wagonie, gdzie byli Schmitt i Kuźnicki, pozostało już tylko oprócz nich dwóch pasażerów; dwaj więc rzucili się na dwóch. Schmitt miał głowę strzaskaną prawdopodobnie kastetem, Kuźnickiemu zadano kilkanaście ran. Był to człowiek rosły i silny, widać się bronił, gdyż miał ręce pokrajane. W chwili, w której to piszemy, na pewniejszy ślad zbrodniarzy już natrafiono. Jest-to pierwsza tego pokroju zbrodnia na naszych kolejach żelaznych.

Straszny ten wypadek przekonał, że sygnały alarmowe na zewnątrz wagonów umieszczone nie na wiele się pasażerom przydają; to też system ich dzisiejszy ma być podobno zmieniony.

* **Niezmiernie zuchwałej kradzieży** ofiarą padł skład futer mieszczący się na placu Krasińskich, w osobno stojącem zabudowaniu, należącem do gmachu starego teatru. Złodzieje dostali się do składu przez dach, a tak czuli się bezpiecznymi, że wprzód zjedli kolacyą, zanim się zabrali do operacyi. Następnie powybierali co najkosztowniejsze futra, z widoczną znajomością rzeczy i położenia, spakowali je w skrzynię i wywieźli na wozie. Żona stróża widziała ludzi ładujących na wóz skrzynię, ale nie uważała za stosowne kogobądź uwiadomić o tem. Szkoda wyrządzona przez rabusiów wynosi do 10,000 rs.

Przed kilkoma laty skład ten już w podobny sposób został okradziony. Ówczesny sprawca kradzieży został schwytany i skazany na lat kilka do rot aresztanckich. Jest przypuszczenie, że to on powtórzył teraz dawną sztukę; niedawno temu bowiem łotr, po odsiedzeniu kary, ośmielił się przyjść do właściciela składu, żalił się, że tyle lat niewinnie cierpiał, i prosił o wspomożenie, a tymczasem przepatrywał zapewne, czy się co od owego czasu w składzie nie zmieniło.

* **W Muzeum techniczno-przemysłowem** w Krakowie z dniem 8 b. m. rozpoczęły się, jak corocznie, wykłady dla kobiet. Ta istna akademia kobieca rozpada się na 5 wydziałów: przyrodniczy, historyczno-literacki, sztuk pięknych, handlowy i gospodarczy. Oprócz tego wchodzą w program lekcye arytmetyki, oraz języków: francuzkiego, niemieckiego, angielskiego i włoskiego, jeśli się tylko znajdzie odpowiednia liczba uczennic.

W Muzeum wykładają przeważnie profesorowie uniwersytetu Jagiellońskiego oraz celniejsi specyaliści w każdym przedmiocie, że tu tylko wymienimy nazwiska: prof. J. Rostafińskiego, d-ra Kazim. Grabowskiego, p. Maryana Dubieckiego, p. Gustawa Ehrenberga, d-ra J. Tretiaka, d-ra I. Kopernickiego, oprócz wielu innych. Rzeźbiarstwa uczy pan Marceli Gujski, a ogólny kierunek wydziału sztuk pięknych spoczywa w ręku Matejki.

Muzeum techniczno-przemysłowe, dźwignięte staraniem i kosztem doktora Baranieckiego, już 23 lata oddaje wielkie usługi miastu i społeczeństwu.

G. Cz.

Odpowiedzi od redakcyi.

— *Pani I. B. we Włocławku.* List pani odebraliśmy i z chęcią głosowi pani do współmieszkanek damy miejsce. Tylko, łaskawa pani, krótko, bo nam ciasno w naszym Tygodniku!

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

egzystuje od 1875 roku, TWARDA Nr 2.

SPECYALNY MAGAZYN

Bielizny Damskiej i Męzkiej

oraz

SKŁAD PŁÓCIEN

i Wyrobów Pończoszniczych

„LEONA"

szule damskie i męzkie, kołnierzyki, mankiety w najświeższych fasonach, chustki do nosa, krawaty, spinki, szpilki, do krawatów, pończochy, skarpetki, oraz wszelkie wyroby trykotowe, wełniane, jedwabne i bawełniane. 67—3—3

Sprzedaż hurtowa i detaliczna.

Zamówienia wykonywają się spiesznie i starannie.

CENY NAJNIŻSZE.

123 MARSZAŁKOWSKA 123, wprost kliniki w Warszawie.

PRACOWNIA

SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH

b. krojczyni u W-go Kwiatkowskiego

FLORENCYI FEDOROWICZ

63—3—3

przeniesioną została z dniem 8-ym Października z ulicy Bednarskiej na

Królewską Nr 31,

trzeci dom od Marszałkowskiej, 1-sze piętro, o czem ma zaszczyt zawiadomić W-ne Klientki.

Nr 3 BIELAŃSKA

LEOP. HINTZ Jr ŁÓDŹ

FILIA FABRYKI

62—3—3 w WARSZAWIE,

Nr 3. Bielańska Nr 3.

BIELAŃSKA Nr 3

Poleca wyroby włóczkowe: chustki, szale, pelerynki, kapturki, sorties des bals fantazyjne. rękawiczki, trykoty etc.

Kto ceni swoje zdrowie niechaj to przeczyta:

Wzrok!!! ten najdroższy skarb życia ludzkiego, zachować można do późnej starości, używając okularów ze szkłami normalnemi, wzmacniającemi i konserwującemi oczy. Cena Okularów lub Binokli w oprawie Aluminiowej rs. 3, zamawiając wyjaśnić, czy mają być do czytania lub widzenia z daleka, siłę wzroku i wieku. (Cena z przesyłką).

Dla Głuchych. Nowe patentowane Mikrofony uszne niewidoczne w uchu, ułatwiające słyszenie i usuwają szum. Cena wraz z flakonem oliwy i przesyłką rs. 5.

Ruptury wszelkie leczą radykalnie Bandaże rupturowe Anatomiczne, ściśle do ciała przylegające. Bandaż taki noszony kilka miesięcy, usuwa rupturę nawet zastarzałe. Zamawiając wyjaśnić jaka ruptura, strona, obwód ciała, zajęcie oraz wiek i dawność ruptury. Cena bandaża pojedyńczego rs. 5, podwójnego rs. 9 z przesyłką pocztową.

Przeciw zająkaniu się przyrząd usuwający takowe i czyniący mowę czystą i płynną. Cena z przesyłką rs. 3.

Dla cierpiących na Niestrawność. Okłady hydropatyczne Priesnitza na żołądek, usuwają niestrawność, pobudzają apetyt, zalecane są przez cały świat medyczny. Zamawiając wyjaśnić wiek, rodzaj niestrawności i obwód ciała. Cena stosownie do wielkości wraz z przesyłką od rs. 3 do 6.

Handlującym odstępuje się rabat. Wysyła się również za zaliczeniem pocztowem.

GŁÓWNY SKŁAD W INSTYTUCIE OPTYCZNYM

127—3—6

MICHAŁA DAWNIEJ JAKÓBA PIK.

W Warszawie, ulica Miodowa Nr 6.

SKŁAD HERBATY CHIŃSKIEJ

J. Z. Ratyńskiego,

JEROZOLIMSKA Nr 84, W WARSZAWIE.

Poleca wyborowe gatunki Herbaty karawanowej ze świeżo nadesłanych transportów.

54—3—3

W Warszawie, skład główny Jerozolimska 84.
W Kaliszu, sklep własny, dom Rozena.
W Wilnie, u T. Odyńca.
W Mińsku, u J. Staroniewicza.

53—3—3

2 **MAGAZYN NOWOŚCI** 2

„Au bon goûts"

„JOANNA"

NOWO-MIODOWA

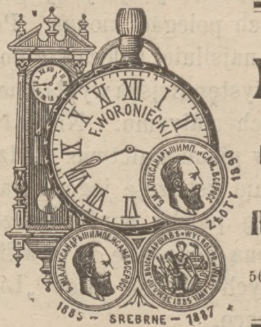
Na nadchodzący sezon został zaopatrzony w wielki wybór gustownie ubranych kapeluszy damskich, najnowszych woalek od 15 kop. zacząwszy, koronkowych fanszoników, fiszutek i szarf, włóczkowych chustek, pelerynek i szali, halek barchanowych, wełnianych i atłasowych, bluzek, matynek i szlafroków barchanowych i flanelowych, fartuszków najrozmaitszych, negliżyków od 30 kop. zacząwszy do eleganckich wstążkami przybranych, pasmenteryi do przybrania sukien i okryć, boa z piór, kryz Marya Stuart, creppe lissów i wielu innych artykułów w zakres damskiej tualety wchodzących. Przyjmują się obstalunki na staniki trykotowe (Jersej), okrycia, żakiety i suknie z własnych i powierzonych materyałów.

SKŁAD OBRAZÓW Franciszka Reinsztejna

ul. Miodowa Nr 6 (z bramy na lewo).

Obrazy olejne, szkice, akwarele, pastele.

68—3—4 **Ceny od najniższych.**



Czysta Nr 2, w Warszawie.

F. WORONIECKI

Zegarmistrz,

poleca w wybornym gatunku

ZEGARKI SZWAJCARSKIE,

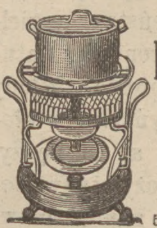
Regulatory i Kontrolery.

Z powodu nagromadzonego

56—3—3 wielkiego wyboru.

Ceny bardzo nizkie—stałe.

KUCHENKI BENZYNOWE



ulepszonej konstrukcyi,

NACZYNIA KUCHENNE oraz NOŻE

z fabryki **Gerlacha** poleca najtaniej

Edward DUSOGE

NOWY-ŚWIAT Nr 5

50—6—6 (wprost straży ogniowej).

KAUCYONOWANE BIURO NAUCZYCIELSKIE

65—3 3 **Waleryi Max.**

ulica Hr. Kocebue Nr 2, w Warszawie.

Rekomenduje: Nauczycielki, Nauczycieli i Bony. Osoby na lekcye i korepetycye. Na zamówienia sprowadza z Paryża i Genewy Guwernantki i Bony.

SKŁAD NICI

H. Boniczkowskiej

Krakowskie-Przedmieście 41

(naprzeciw ulicy Bednarskiej).

Poleca na obecną porę: 58—3—3

Chustki jedwabne, kamasze włóczkowe, koszulki bawełniane i wełniane, pończochy, skarpetki, rękawiczki, spódnice i kaftaniki włóczkowe a także różne wyroby wełniane i włóczkowe. **Ceny przystępne.**

KAPELUSZE AKSAMITNE I FILCOWE

podług najświeższych modeli ***Filcowe od rs. 2,***

poleca magazyn 64—3—3

Emilii Stypińskiej,

ulica RYMARSKA Nr 14.

Szkoła praktycznych rzemiosł 51—3—3

DLA KOBIET

Michaliny Drozdowskiej,

Chmielna Nr 52, mieszkania Nr 3.

Kurs nauki 3 miesięczny.

Zapisywać się można codziennie.

WYKŁADY NASTĘPUJĄCE:

Krój sukien i palt damskich systemem K. Głodzińskiego, oraz szycie tychże, za kurs nauki. . . . . rs. 15
Krój i szycie bielizny. . . . . rs. 10
Krój sukien i palt damskich systemem francuzkim oraz szycie tychże za kurs nauki . rs. 15
Krój i szycie gorsetów . . . . rs. 15
Tkactwo. . . . . rs. 15
Wyrób pończoszniczy . . . . rs. 15
Wyrób parasolniczy. . . . . rs. 12
Krawaty . . . . rs. 8
Włóczkowe ręczne roboty. . . . . . . rs. 8
Koronkarstwo. . . . . rs. 6
Roboty włóczkowe deskowe. . . . . . . rs. 4

Możliwie nizkie ceny pozwalają mi ufać, iż zaszczyconą zostanę licznym zastępem uczennic.

„Au Bon Goût"

Eleganckie staniki trykotowe (Jersey), sukienki dziecinne. Ceny przystępne, obstalunki wykonywają się w ciągu 24 godzin. **Królewska Nr 45 (miesz. 15).** 60—3—3

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Декабря 1890 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Opis do N-ru 47.

(Dokończenie.)

N. 31 i 38. Płaszczyk dla panienki lat 10—12. Krój N. VII.

Odrobiony z materyału double i przybrany barankami (r. 38) lub z Astrachańskiego pluszu z oszyciem bobrowem, dopasowywa się podług formy f. 45—47 dopełnionych podług wymiaru wskazanego na zmniejszonym formacie. Krótkie plecy f. 47 dopełnione są brytem f. 48, złożonym w sześć fałd schodzących się do środka. Pod przecięcia oznaczone na f. 45 podszywa się okrągławe kieszenie, 16 c. długie. Krótkie zwierzchnie rękawy f. 50 wszywają się w pachę razem z długiemi rękawami f. 49, podług odpowiednich znaków; pasek f. 53 wpuszcza się w szwy boczne przy dwukropku; może być z tego co paletot materyału lub skórzany. Kołnierz i ranwersy z futra, takież same obłożenie przy krótkich rękawach 6 cent. szerokie. Zapięcie na kryte guziki z przodu.

N. 32—33. Suknia z krótkim stanikiem dla panienki lat 14—16. Krój N. VIII.

Fig. 57—58 dają podszewkę pod plecy i drugie boczki pokryte materyałem zwierzchnim podług f. 59 wcale nieszzywanym środkiem, na ramionach założonym w dwie fałdy, w pasie przemarszczonym podług linii cienkiej. Przody (f. 55) dopełnia oddzielny, guzikami przypięty plastron fig. 94; zaszewki dane tylko w podszewce a wierzch zebrany w trzy fałdy, zwrócone do środka; brzegi przodów zakończone wypustką. Plastron może być aksamitny, jedwabny przygotowany nakszalt żabotu plastronem, zfałdowanym z kawałka białej crêpe de Chine 14 c. szerokiego, 32 c. długiego; boki plastronu naszyte 3 c. szerokiemi szlakami haftowanemi na popielatej materyi. Przody kaftanikowe mają kołnierz przedłużony w ranwersy, odwinięte u dołu; rękawy u dołu zapięte na guziki, i zmieniać go można dla odświeżenia sukni; wykrój górny wszywa się w kołnierz stojący, 4 c. wysoki; przyszycie guzików oznaczone linią cienką. Fig. 61 daje szeroki kołnierz marynarski przyszyty do przodów przy 57 i do pleców od ramion. Linia kroju na f. 60 oznacza formę podszewki rękawa, zaś linia cienka wierzchu; od 56 otwarta podszewka pokryta gładko materyałem, w kształcie mankieta. Spódnica podszewkowa 200 c. szeroka, 90 c. długa, przykryta zwierzchnią 275 c. szeroką, obrąbioną u dołu na prawą stronę 14 c. szeroko i ozdobioną zakładkami po 2 c. szerokiemi. Spódnica podszewkowa zapina się na środku, zwierzchnia zaś z boku; pasek 5 c. szeroki, otoczony wypustką, podobnie jak mankiety zapinany na podwójne guziki połączone od spodu,



N. 2. Haft japoński złotem do notesów, na poduszeczkę lub t. p.

N. 36. Podkładka stalowa do wysokich rękawów.

Zamiast waty, która się wygniata i obsuwa, używają obecnie podkładki stalowej, złączonej z dwóch stalek 14 i 21 cent. długich, opatrzonych dziurkami do przyszycia w rękawie między wierzchem i podszewką.

N. 40. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Krój N. XXII.

Wymiar gładkiej zwierzchniej spódnicy z jasno popielatego sukna, daje f. 124, *a* oznacza przód podług odpowiednich znaków przypięty na brycie tylnym *b* guzikami przyszytemi zwierzchu, z dziurkami naśladowanemi tylko obrobieniem. Górny brzeg brytów z przodu i z boków lekko naddany, z tyłu ściśle zfałdowany. Podszewka przodów zapięta środkiem na haftki, przykryta jest



N. 1. Uczesanie nizkie.



N. 3. Suknia naszyta pletnią. N. 4. Suknia z kokardami aksamitnemi.

N. 42 i 44. Płaszcz formą burnusową, podszyty futrem. Krój N. II.

Odszyty z ciężkiej czarnej materyi ottoman, podszyty futrem, które dopasowywa się podług linii kroju i podług f. 9a—zaś pokrycie zwierzchu krajać podług linii cienkiej na f. 9 i podług f. 9b. Wierzch i futro wykończa się odzielnie i następnie łączy z sobą. Futro wokoło brzegów dopełnione listwą pikowaną 8 c. szeroką; tylne brzegi przodów nim są złączone z plecami f. 10 od S do W, trzeba przymarszczyć. Wierzch krajany w jednym ciągu na obie części, składa się w górze pleców w pietnaście poprzecznych fałdek po $1/2$ cent. głębokich; ramiona są przymarszczone po założeniu na początku i końcu fałd oznaczonych krzyżykiem i punktem. Przecięcie oznaczone podwójną linijką od W do V wraz z górnym brzegiem tylnego bryta (f. 11) jest przemarszczone. Wystający górny brzeg przodów przyłożony do podszewki X do X i T do T, składa się w trzy fałdy, a górną część podszewki pokrywa gładko materyą i pasmanteryą, daną również na plecach (patrz r. 42). Na zmarszczkach tylnych przyszyta rozeta w kształcie półksiężyca; przy W od spodu podszywa się mocną wstążkę do wiązania płaszcza. Linia kroju na fig. 12 daje formę kołnierza, zaś linia cienka oznacza kołnierz futrzany podszyty materyą.

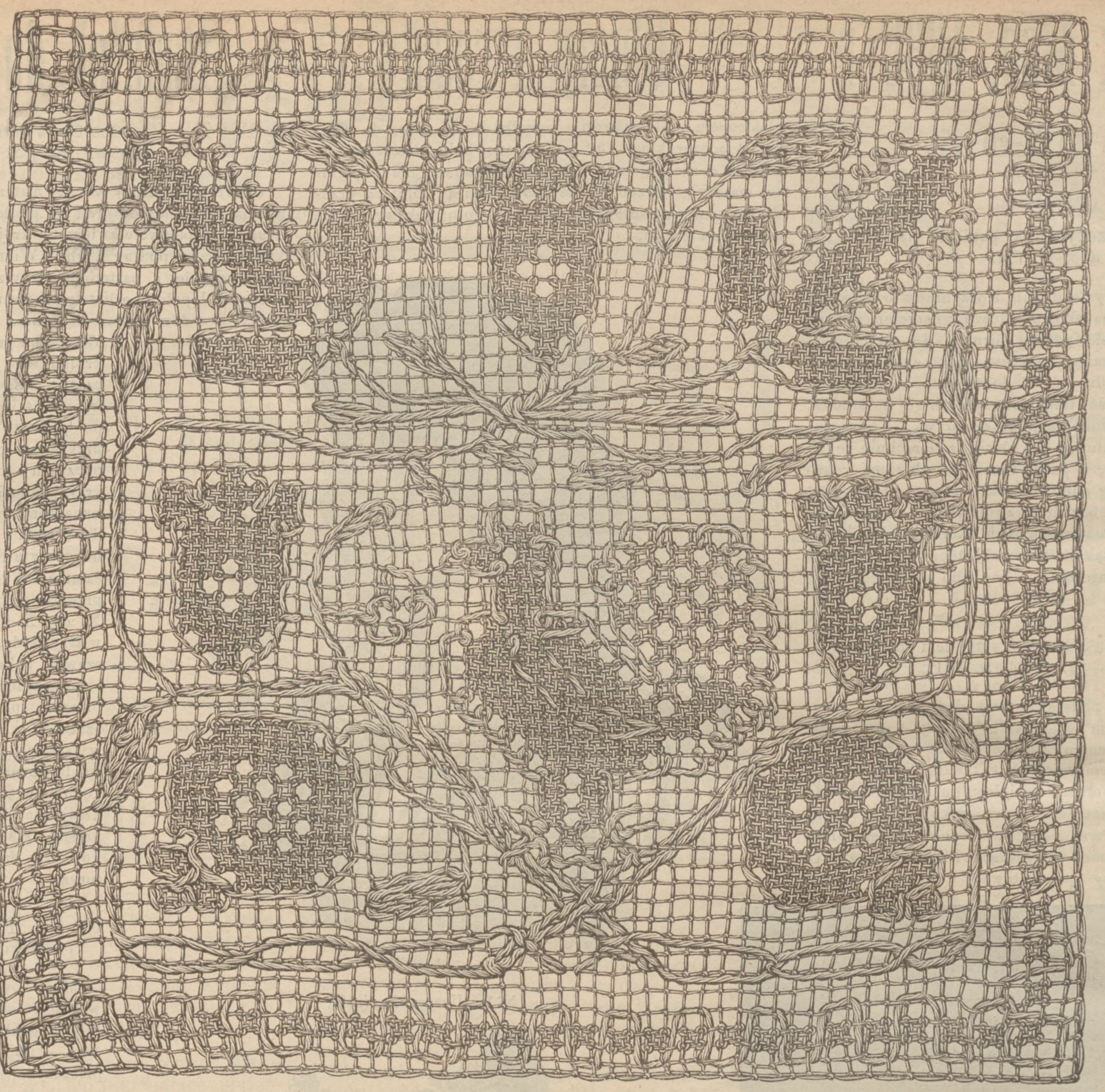
N. 43. Płaszczyk dla młodej panienki. Krój N. XVIII.

Może być z kaszmiru, wełny w kratę, na watowanej podszewce lub z grubego materyału. Fig. 104—105 dają przody i plecy płaszczyka, rękaw można dopasować podług f. 60. Wierzch krajany trochę szerzej przymarszcza się pod szyją lub zbiera w fałdki; w pasie obciśnięty jest paskiem f. 108 przyszytym od 11 do 12. Zapięcie dane wzdłuż przodów na kryte guziki. Długie części pelerynowe f. 106 podszywają się flanelką koloru takiego jak wierzch, lub materyą i wpuszczają w pachę od 8 do 7, a do płaszczyka przyszywają wzdłuż linii cienkiej do 9 i od gwiazdki do dołu; szerokość zbywającą namarszcza się na ramionach. Kołnierz fig. 107 podobnie jak pasek może być z aksamitu, pluszu lub gładkiej wełny.

Opis do N-ru 48.

N. 1. Uczesanie nizkie.

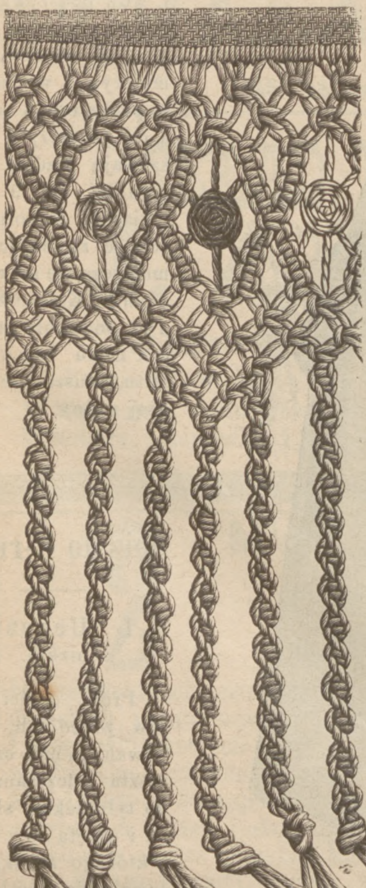
Prócz części włosów przednich, skarbowanych nad czołem, reszta odczesana jest do tyłu, lekko skręcona i upięta w węzeł, z którego środka wysuwają się krótkie loczki zafryzowane z końców włosów.



N. 5. Kwadrat z siatki gipiurowej do serwet, kap, i t. p.

N. 2. Haft japoński złotem.

Da się zastosować na poduszkę toaletową, karnecik, szkatułeczkę lub t. p. Tło w modelu było z pons owego atłasu, do wyszycia użyte japońskie nici złote i srebrne. Liście ciemniejsze na r. 2 wyszyte są nitką złotą przyszywaną poprzecznemi ściegami żółtego jedwabiu, jaśniejsze zaś są srebrne, przyszywane jedwabiem białym; środeczek w kwiatku srebrnym jest z cienkiego fijołkowego jedwabiu, łodyżki są haftowane filozelą zieloną i brązową. Motyl haftuje się ściegiem płaskim jedwabiem kolorowym z dodaniem nitki złotej.



N. 6. Frendzla do serwet, firanek i t. p.

N. 3. Suknia naszyta pletnią.

Niebieskawo popielate sukno, przybrane czarną wełnianą pletnią 1 c. szeroką; spódnica z prostych brytów 276 c. szeroka, zachodzi z prawego boku brzegiem przednim ściętym skośnie od dołu i w górze, tak że tworzy ząb 20 c. poniżej paska, na brzeg tylny. Z przodu w górze dane zaszewki odpowiednie do figury, z tyłu spódnica zebrana w fałdy, zasłaniające rozporek przecięty na środku. Stanik z baskiną bawetową, zapinaną z boku, zdobi się pletnią podług r. 3.

N. 4. Suknia z kokardą aksamitną.

Uszyta z wełny w kratę białą z niebieskim, ma spódnicę 300 c. szeroką, z przodu zebraną w kilka fałd, zachodzących na biodra, z tyłu ściśle zmarszczoną. Stanik z frakowem karoczkiem i zfałdowanemi przodami, zapięty z boku na kryte haftki, pod przybraniem z aksamitki. Z lewego boku na sukni spuszczona suta kokarda aksamitna.

N. 5. Kwadrat z siatki gipiurowej.

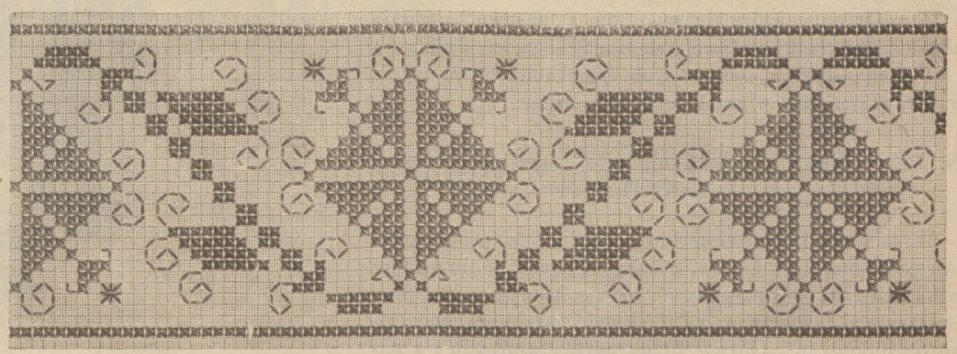
Odpowiedni jest na serwetę w połączeniu z matowemi kwadratami z kanwy kongresowej, płótna, materyi, pluszu i t. p. Stosownie do materyału użytego na kwadraty i siatkę robi się białą lub kolorową, z nici, bawełny lub kordonku. Jeżeli między siatkowemi damy kwadraty kanwowe lub płócienne, to trzeba je ozdobić wyszyciem krzyżykowem.

N. 6. Frendzla robotą wiązaną.

Odpowiednia do serwet, firanek i t. p. wiąże się z grubych nici, w płaskie węzły podług r. 6. Nagłówek frendzli ozdobiony jest pajączkami z jedwabiu kolorowego. Frendzla składa się z promieni po cztery nitki odzierganych 46 zwykłemi pół węzłami; na końcach dla zamocowania zawiązane supełki.

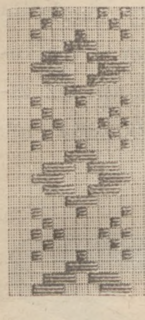
N. 8—9. Szlak i zakończenie do serwet. Wyszycie i kratka.

Wzór takiego szlaku odrobiony był na białej kanwie kongresowej białemi świecącemi nićmi, ale stosownie do gustu można zmienić tło i wyszycie dać w jednym lub kilku kolorach. Zamiast nici można użyć bawełny, kordonku lub filozeli. Zaczynając szlak trzeba najpierw wyciągnąć nitki poprzeczne podług obrachunku. Środkowy matowy pasek liczy 24 nitek i ozdobiony jest wyszyciem w kwadraty i zęby ściegiem płaskim, zajmowanym podług liczby nitek tła. Otaczające go ażurowe paski wykonywają się podług r. 9, przedstawiającej wykonanie roboty w powiększeniu, dla ułatwienia obliczenia nitek. Przez środek paska wyciąga się cztery nitki poprzeczne a pozostałe podłużne nitki po trzy w grupie



N. 7. Szlaczek wyszyty krzyżykami.

obwodzą się podług ryc. 9. Dalej z obydwóch stron w odstępie po cztery nitki wyciągnąć po dziewięć nitek, a nitki podłużne po trzy razem wywodzi się w zęby podług r. 9 pięcioma rzędami; zęby tworzą się przez zajmowanie ściegów przez nitki poprzeczne. W górze po nad ząbkami dane przewiązanie ściegiem dzierganym. Brzegi szlaku ozdobione haftem płaskim, którego deseń



N. 10. Szlaczek wyszyty ściegiem płaskim.

łatwo obliczyć podług r. 8. Na frendzlę zakończającą brzeg dolny trzeba dodać 20 c. kanwy a wysiepane nitki rozdzielić w grupy po 12 nitek i wiązać w podwójne węzły, dodając po dwie nitki bawełny czy kordonku.



N. 8. Szlak i zakończenie do serwet. Wyszycie i kratka. Patrz ryc. 9.

N. 11. Teka na gazety i pisma.

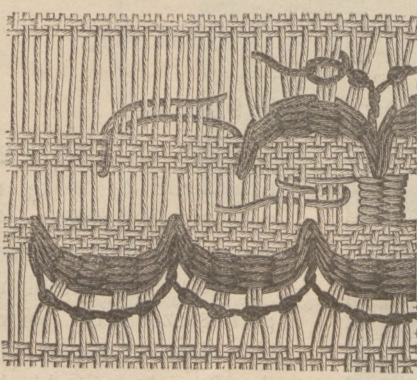
Dwa kawałki tektury po 35 cent. długie a 30 i 19 c. wysokie, otoczone wokoło brzegów niezbyt grubemi pręcikami z trzciny, połączone z sobą stanowią tekę, przeznaczoną na pisma tygodniowe. Zwierzchnie pokrycie stanowi materya i plusz dany skośnie na tylnej połowie teki, 11—17 c. szeroko. Brzegi materyi przytrzymane są razem z pręcikami trzcinowemi sznurowaniem ze sznureczka wełnianego ponsowego i zielonego, kręconego z bajorkiem złotym. Dziurki do przewlekania trzeba w równych odstępach przekłuć w materyi i przebić w tekturze. Takie sznureczki z pomponami przewiązane na skrzyżowaniu trzcinek na rogach. Dwie połowy teki złączone są ze sobą małemi zawiaskami ruchomemi. Przyozdobienie stanowi deseń w guście japońskim malowany kolorowo i złocony.

N. 12—13. Kwiaty do sukien i kapeluszy.

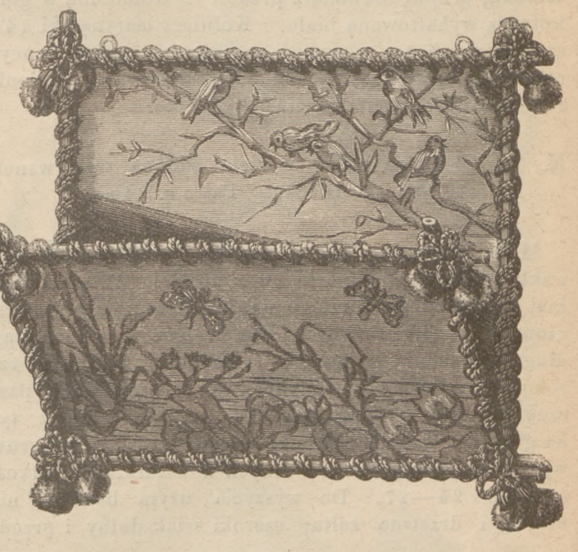
We wszystkich właściwych sobie kolorach i odcieniach róża wzięta pojedyńczo, w bukietach i gałązkach lub długich girlandach, stanowi znowu modne przybranie sukien balowych. Rycina 12 przedstawia długą gałązkę z jasno zielonemi wiotkiemi liśćmi i czerwonawemi ogonkami, doskonale naśladującą świeżą różę *marechal-Niel*. Kwiaty z aksamitu i materyi będą przy najulubieńszych piórach służyły także do przybrania zimowych kapeluszy—pierwszeństwo na ten cel mają kwiaty większych rozmiarów np. klematys, azalye i t. p. Bardzo efektowne przybranie kapelusza stanowi bukiet ostu z białej materyi ze złotym kielichem i złotą egretką, jaki przedstawia r. 13.

N. 14—16. Biżuterye modne.

Rycina 16 przedstawia wzór naszyjnika odpowiedniego na podarunek dla młodej panienki, idącej na pierwszy bal; składa on się ze złotego łańcuszka, zapiętego z tyłu, z przodu danego podwójnie i łączącego rozety z turkusów i pereł; na środku przyczepione serduszko turkusowe. Oryginalna ale bardzo efektowna brosza r. 15 składa się z pięciu bratków, stopniowej wielkości, zawieszonych jeden u drugiego; złote liście kwiatów wygięte w kształty naturalne, cieniowane emalją lila z ciemnemi żyłkami i z perłą w środku. Przy największym górnym bratku dany złoty ogonek i od spodu umocowana szpilka do przypinania. Do ozdoby żabotów lub kokard służyć mogą szpilki z łepkami z pereł, połączone łańcuszkiem złotym z perłami.



N. 9. Wykonanie kratki ażurowej do ryc. 8.



N. 11. Teka na gazety i pisma.

N. 17—18. Naszyjnik robotą filigranową.

Niejednokrotnie już w dawniejszych latach i na początku roku podawaliśmy różne wzory kwiatów i ozdób robotą filigranową (patrz N. 3 Tyg. Mód) ręczną z cieniutkiego drucika kręconego. Dziś na r. 17 przedstawiony naszyjnik złożony z dwunastu podłużnych kwadratów, z których jeden w naturalnej wielkości daje r. 18. Materyał do tej roboty stanowi kręcony srebrny drucik trojakiej grubości i małe srebrne perełki, za narzędzia służą obcążki i średniej grubości drut (od roboty pończoch). Najpierw z najgrubszego drucika robi się ramę kwadratu, cztery listki robią się z cieńszego a środek każdego stanowią cztery perełki nawleczone na drucik. Do łączenia wszystkich części służy najcieńszy drucik wcale nie kręcony. Dla skręcenia drucika trzeba go równo raz za razem okręcać wokoło drutu, potem zsunąć z niego i lekko rozciągnąć. Na rogach kwadratu dane perełki. Przygotowawszy odpowiednią liczbę kwadratów przyczepić je trzeba na kolorowej aksamitce lub wstążce, związanej na szyi w kokardę.

N. 19 i 23. Sukienka princesse dla dziewczynki lat 7—9.

Ryciny 19 i 23 przedstawiają przód i plecy sukienki princesse, z różnego materyału i z odmiennem przybraniem, zapiętej z tyłu na kryte haftki. Karczek z przodu i z tyłu po 8 c. długi, może być na gładkiej podszewce dany gładko, jak na r. 19, lub cały marszczony podług r. 23. Przyszyte do karczka przody i plecy mogą być przemarszczone gorsecikowo (r. 19) lub w górze zfałdowane a na wcięciu stanu zmarszczone na szerokość paska, niżej zaś spuszczone jako spódniczka 42 c., długa 165 szeroka. Rękawki gładkie, lub w dolnej połowie marszczone. Przybranie i kokardy z wstążki repsowej 5 c. szerokiej.

N. 20. Płaszczyk z karczkiem dla chłopczyka.

Odrobiony z granatowego sukna na lekko watowanej podszewce ma z przodu 7 c. szeroki karczek, do którego przymarszczają się przody 56 c. długie, u dołu 49 c. szerokie. Plecy 45 c. długie, krajane bez karczka i dopełnione brytem marszczonym 30 c. długim, 70 c. szerokim. Pasek 5 c. szeroki z boków przytrzymany wązkiemi pateczkami. Wyszycie z plecionego sutaszu $1/2$ c. szerokiego i złote guziczki stanowią przybranie płaszczyka.



N. 12. Gałązka róży *marechal-Niel* do sukni balowej.

N. 21. **Sukienka** przybrana plecioneczką.

Uszyta z granatowej wełny, składa się z bluzki i ze spódniczki marszczonej 30 c. długiej, 180 c. szerokiej. Przody i plecy bluzki są od ramion wzdłuż na 12 cent. przemarszczone, podobnie u dołu pod paskiem i złączone ze spódniczką. Zapięcie dane pod kontrafałdą 6 c. szeroką, przystębnowaną z przodu i ozdobioną w górze kotwicą wyhaftowaną biało. Kołnierz marynarski 14 c. szeroki, pasek 4 c. szeroki i mankiety u zmarszczonych rękawów, naszyte są rzędami białej wąziutkiej plecionki, z której ułożona suta rozeta przy pasku.

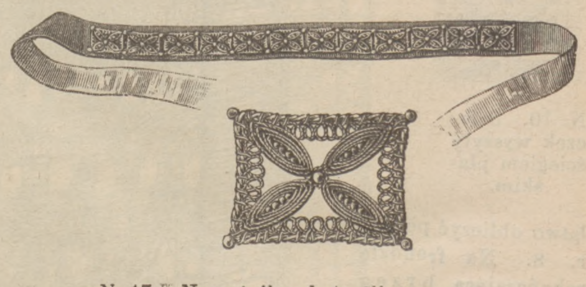
N. 22. **Sukieneczka** wycięta zdobna wyszywanemi szlakami dla dziecka. Patrz r. 24—27.

Model sukienki był z cienkiej białej kanwy Jawa i składał się ze spódniczki 20 c. długiej, 120 c. szerokiej i z wyciętego długiego stanika z baskiną przymarszczoną w górze. Przody i plecy krajane w jednym ciągu długość przednia wynosi 38, tylna 40 c., zaś dolna szerokość baskiny 94 c. Wykrój szyi otacza wązki paseczek, wyszyty podług ryc. 24 zapięcie dane z tyłu na guziki. Ozdobę sukienki stanowi wyszycie kolorowe wykonane podług wzorów danych w naturalnej wielkości na ryc. 24—27. Do wyszycia użyta bawełna niebieska i drzewno żółta; szeroki szlak dolny i przedni



N. 13. Bukiet ostu do kapelusza. N. 14. Naszyjnik z turkusami. — N. 15. Broszka z bratków.—N. 16. Szpilki z perłami.

tanki słodkiej 3 łyżki i także zagnieść. Oba te ciasta rozpłaszczyć, uważając aby to z masłem zagniecione, na wierzch przypadło i wałkować zawsze w jedną stronę od siebie, obracając ciasto grubsze pod wałek. Brzegi ciasta składają się z jednej i z drugiej strony do środka i od połowy ciągle się rozwałkowywa powtarzając to kilka razy. Wałkować należy w miejscu ani zbyt gorącem, ani też zimnem, w pierwszym razie masło się rozgrzewa i nie

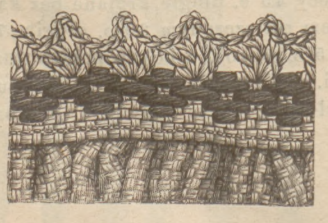


N. 17. Naszyjnik robotą filigranową.
N. 18. Kwadracik robotą filigranową do ryc. 17. Wielkość naturalna.

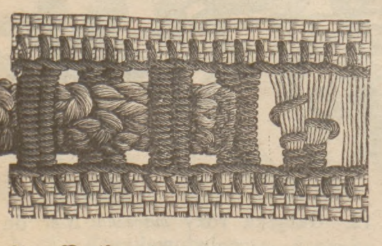


N. 19. Sukienka princesse dla dziewczynki lat 7—9. Patrz ryc. 23. N. 20. Płaszczyk z barankiem dla chłopczyka. N. 21. Sukienka przybrana plecionką. N. 22. Sukienka wycięta zdobna szlakami wyszywanemi. Patrz ryc. 4—7 w N. 49. N. 23. Sukienka princesse dla dziewczynki. Patrz r. 12.

wyszywa się powtarzając ten sam deseń w kwadraty, którego czwartą część przedstawia ryc. 26 połowa szerokości wyszywa się na rękawkach. Przy baskinie dany szlaczek r. 22 a przy pasku od szyi i brzegiem bas-



N. 24. Karczek wyszyciem i ząbeczkami do ryc. 22.

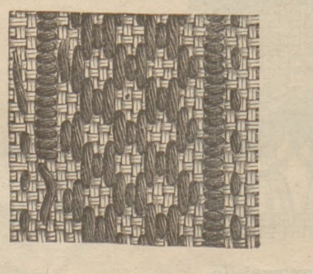


N. 25. Kratka ażurowa przewleczona sznurem do ryc. 22.

kiny obrobione wąziutkie ząbeczki szydełkowe. Górny brzeg baskiny przymarszcza się na sznurek wełniany przewleczony przez kratkę, wykonaną podług ryc. 25 Potrzeba na nią wyciągnąć 12 nitek poprzecznych z tła kanwowego, brzegi nad wysiepaniem odziergać rzadko, a pozostałe nitki podłużne po sześć podwójnych nitek obrzucić na pręciki, przez które przewleka się sznurek, robiony szydełkiem, z grubej niebieskiej bawełny, zakończony pomponami.

Przepisy gospodarskie.

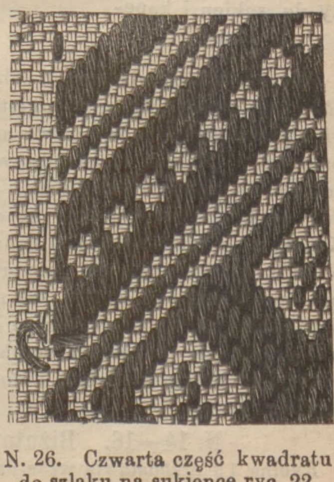
Wyborne ciasto francuzkie.



N. 27. Wązki szlaczek do ryc. 22.

Wziąć mąki łutów 20, przedzielić tę mąkę na połowę, do jednej części dodać 20 łutów masła wymoczonego, niesolonego i osuszonego w serwecie i ciasto zagnieść. Do drugiej połowy mąki dodać wina 2 łyżek, śmie-

daje się wałkować, w drugim zaś przypadku będzie się łamało. Rozwałkowywa się ciasto dość cienko, wyciska blaszaną foremką, smaruje jajkiem i posypuje cukrem. Piec powinien być dosyć gorący żeby się ciastka w pół godziny upiekły. Używając to ciasto do pasztecików nie trzeba go cukrować.



N. 26. Czwarta część kwadratu do szlaku na sukience ryc. 22.